POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 27-go maja 1944r. | Rok VI. Nr. 21

PODSTAWY WSPÓLNOTY

W dwóch poprzednio tu zamieszczonych artykułach: "Potrzeba nowej wizji" i "Klucz przyszłości" /nr. 11 i 16 "Polski Walczącej" z b.r./ usiłowałem przedstawić pewne czynniki i podstawy, na których winien się opierać powojenny świat. Kończąc ten cykl, chciałbym dodać parę uwag, które wydają mi się nieodzowne dla uzupełnienia obrazu.

ODBUDOWANIE POCZUCIA PRAWA

W rozlicznych dyskusjach i planach odnoszących się do urządzenia powojennego świata, zbyt mało uwagi poświęca się zagadnieniu bardzo doniosłemu: poczuciu prawa. Nie zdajemy sobie sprawy, że to poczucie zostało zagrożone nie od dzisiaj, że państwa totalne przeszły do porządku nad tym poczuciem, że totalizmy rozpoczęły się od burzenia ładu prawnego, a w państwach takich, gdzie pewne koła — głównie urzędnicze — skłaniały się ku ideałom "rządów autorytatywnych" obchodzenie prawa i podważanie prawa umożliwiało manewry klik rządzących. Nie dopuszczamy dalej przykrej myśli, że kodeks prawny, jaki obowiązywał narody i społeczności, został podeptany, że poczucie prawa stacza się coraz niżej i niżej w krajach podbitych, gdzie koniecznością staje się wszystko co nielegalne, gdzie praktyki *black market* są na porządku dziennym i gdzie wypacza się młoda myśl w atmosferze ucisku i terroru.

Odbudowanie poczucia prawa jest koniecznością w życiu społeczeństw, inaczej bowiem będziemy przez lata, jeżeli nie pokolenia, tkwili w dżungli totalnej. Prawo musi znowu zacząć rządzić społeczeństwami zwichrzonymi wojną, przeoranymi totalnym barbarzyństwem, pogrążonymi w nienawiści do okupanta. Dlatego tak ważną rzeczą jest n.p. ustalenie już dzisiaj listy przestępców niemieckich. Oczywiście, jest jasne, że klęska Niemiec wywoła samosądy, jest oczywiste, że ręka sprawiedliwości społeczeństw wykona wyroki na katów i małych satrapów, zanim zaczną w tych krajach działać sądy — i nikt nie będzie ubolewał zbytnio nad tymi odruchami.

Ale musimy pragnąć, ażeby wymiar sprawiedliwości był jak najszybciej opanowany przez odpowiednie czynniki, ażeby sądy w krajach sojuszniczych przystąpiły najszybciej do pracy, albowiem zależeć nam winno na tym, by przywrócono majestat i wartość prawa. Nie zapominajmy, że wybryki przeciwko prawu, że wszelkie ugruntowanie samosądów i odruchów, wymierzanie sprawiedliwości przez tłum, wszelkie bezprawie — znieprawia nie tylko tych, którzy są jego ofiarami, ale i tych, co je uprawiają. Dlatego w interesie Narodów Zjednoczonych, w interesie kultury europejskiej jest najszybsze powołanie do życia trybunałów, które będą ścigać i sądzić niemieckich zbrodniarzy.

Poczucie prawa winno zostać odbudowane również w stosunkach międzynarodowych. I w tej dziedzinie jesteśmy świadkami smutnego zaniku tego poczucia. Państwa totalne zasiały groźny siew i nie został on wypleniony. Nie skończy się on automatycznie przez sam fakt pobicia Rzeszy. Miazmaty totalne będą dalej istnieć i mogą zatruwać organizmy zarówno państw demokratycznych jak i tych, które będą starały się mozolnie i z trudem tworzyć po swojemu demokrację. Poczucie prawa w stosunkach międzynarodowych to poszanowanie zawartych układów, to trzymanie się pewnych zasad, a nie koniunktury. Oczywiście, stosunki międzynarodowe nie zostaną uzdrowione, jeżeli nawyki totalne będą dalej w modzie.

A zatem — typ propagandy nieprzebierającej w środkach, niepoczytalne ataki rozmaitych stacyj radiowych, ton pisania o innych państwach, szkalowanie sąsiadów — te metody muszą po wojnie być, jeżeli już nie zupełnie zaniechane, to w każdym razie ograniczone. Wiemy z doświadczenia przeszłości, jaką rolę odgrywała prasa i radio w wywoływaniu t.zw. zbiorowych oburzeń, jak podbechtywano kraje i narody przy pomocy tych dwóch czynników. Prasa w państwach demokratycznych musi po wojnie zyskać w pełni swobodę wypowiadania się. Prasa winna być wolna, ale to jeszcze nie wystarczy: musi ona odzyskać to poczucie sprawiedliwości i rzeczowości, jakie cechowało ją dawniej. Już po pierwszej wojnie rozpoczął się w rozmaitych krajach Europy upadek rzetelności prasy; pogoń za sensacją sprawiła, że prasa przestała kierować opinią — była kierowana przez gusty i nastroje pewnych odłamów społeczeństw. Prasa przestała pouczać, starała się zabawiać. Ta rola nie wyszła prasie na dobre.

DOBRE POŻYWIENIE — ZDROWY KLIMAT

Poczucie prawa winno być odbudowane, co będzie powolnym procesem, ale też nie należy się łudzić: zniszczenie w Europie będzie olbrzymie. Europa potrzebuje dzisiaj bardziej cierpliwych lekarzy, aniżeli niecierpliwych demagogów, polityków obiecujących złote góry i różowe wizje, tych wszystkich szalbierzy, co kierują się zasadami reklamy handlowej: należy obiecywać najwięcej — klientowi można przecież wszystko wmówić. A skoro Europie potrzeba przede wszystkim lekarzy, więcej ludzi, którzyby rozumieli jej schorzenia, wypaczenia i kompleksy i starali się je leczyć — to wynika jasno z tego, że pierwszym warukiem jest: dobre pożywienie, zdrowy klimat. W każdym leczeniu są to podstawowe warunki.

Zdrowe pożywienie — wiemy że Europa będzie wygłodniała, nędzna, niedożywiona. Grecja stanowi dzisiaj najbardziej chyba drastyczny przykład głodu w Europie: wymieranie z głodu jest tam zjawiskiem co raz to bardziej niepokojącym. Polska stoi chyba zaraz na drugim miejscu. Ale nawet zamożna Francja odczuła na sobie straszliwe skutki niedożywienia. Neutralne doniesienia powiadają, że niedożywienie jest cechą najbardziej może znamienną obecnej sytuacji we Francji. Choroby takie jak anemia, gruźlica, wszelakie choroby krwi — przy czym pojawiły się nowe schorzenia i nowe, nieznane objawy — podcinają siły żywotne Francji. Pokos śmierci w Polsce z niedożywienia i niedostatku jest olbrzymi.

Zadaniem rozmaitych organizacyj jak UNRRA będzie dostarczenie Europie żywności, odzieży. Potrzeby będą olbrzymie. Liczyć się należy jednak z tym, że zostaną one zaspokojone, albowiem zapasy amerykańskie są wielkie, W. Brytania zgromadziła spore zasoby, państwa południowo-amerykańskie pomogą wydatnie. Anglia zachowa system racjonowania, aby móc dosyłać do Europy żywność i odzienie. Wszystko wskazuje na to, że zagadnienie wyżywienia, ten podstawowy punkt, nie zostanie załatwiony najgorzej.

Mniej jasno przedstawia się zagadnienie zdrowego klimatu. Pod tym bowiem pojęciem rozumiemy te wszystkie sprawy natury moralnej, te wszystkie *imponderabilia*, rzeczy nie dające się zmierzyć i zważyć, które jednak odgrywają w życiu jednostek i narodów większą niekiedy rolę, niż ekonomiści są skłonni przypuszczać. Zdrowy klimat dla Europy, to poczucie bezpieczeństwa, którego brak było Europie od czasu pojawienia się hitleryzmu. Poczucie bezpieczeństwa — ono jedno może sprawić, że społeczeństwa przestaną żyć nerwami, paniką wojenną, że oddadzą się rzemiosłu pokoju, że zaczną nabierać przekonania, iż dorobek ich nie będzie jutro zniszczony, że zatem warto pracować, mnożyć się, zakładać rodziny. Poczucie niepewności jutra, które wynikało w Europie przedwojennej z napięcia, ustawicznej wojennej paniki, bezrobocia, socjalnych starć — musi być usunięte. Bezrobocie może być rozładowane i opanowane: wiemy już jak walczyć z tą chorobą, nie jest ona dla nas nowiną. Są dzisiaj sposoby i środki, ażeby bezrobocie trzymało się co najmniej w ramach niegroźnych dla społeczeństw — ale nie dokona się tego bez międzynarodowego wysiłku, bez otwarcia granic państw, bez wzajemnej pomocy krajów Europy.

BEZPIECZEŃSTWO ZBIOROWE

Jest wielkim nieszczęściem, że plany organizacji bezpieczeństwa zbiorowego nie wyszły dotychczas poza ogólniki i że nawet niedawno odbyta konferencja premierów Imperium Brytyjskiego nie chciała oświadczyć niczego, co by ją zobowiązywało. Być może jednak, że chwila jeszcze nie dojrzała do ogłaszania szczegółów takiego planu; z drugiej strony W. Brytania ujawniała już nieraz swoje plany i zamiary /mowa radiowa Churchilla z końca marca ub.r./, ale projekty te nie odpowiadały jakoś wszystkim członkom zespołu *Big Three*. Pisma brytyjskie w pierwszych raportach z konferencji premierów dominialnych zaznaczały, że opowiedzieli się oni za pewnym odtworzeniem Ligi Narodów, uważając, że wiele z tej organizacji należałoby uratować i że główną przyczyną zawalenia się Ligi był brak odpowiedniego poparcia siły.

Oczywiście, wszystko sprowadza się do tego prostego zagadnienia: siły i jej użycia. Jest niewątpliwie rzeczą smutną, że projekty snute w U.S.A. na temat powołania do życia międzynarodowej siły policyjnej ucichły i że głosy brytyjskie opowiadające się za takim pomysłem stały się słabe. Jest to wynik tego, że nie wszystkie mocarstwa są w jednakowej mierze obdarzone duchem międzynarodowej współpracy. Nie wszystkie są równie szeroko otwarte na inicjatywę tego typu.

Myśl powołania do życia międzynarodowych sił policyjnych, głównie lotnictwa, która jeszcze przed dwoma laty była wielce żywa w U.S.A., dzisiaj niestety usunięta została w głąb sceny, albowiem gra sił *Big Three* na razie nie jest skończona. Wiemy dzisiaj, że owi *Big Three* będą mieli po wojnie cały sprzęt wojenny i wszelkie niemal zasoby wojenne. Nie wiemy jednak, jak u ż y j ą swojej siły. Czy zechcą niejako przekazać swoją siłę obszerniejszej organizacji, na jej potrzeby? Nie wiemy, ale to wiemy, że samo jeszcze zredukowanie siły do dwóch czy trzech "wielkich" nie przesądza sprawy pokoju. Przeciwnie, tworzy niebezpieczne skupienia siły.

Bez postawienia zagadnienia bezpieczeństwa świata, wojny tej nie będzie można nazwać wygraną. Oznaczać to bowiem będzie tylko pokonanie imperializmu niemieckiego, przetrącenie mu krzyża na czas dłuższy, jeżeli nie na zawsze. Zdaniem wielu ekspertów, jeżeli istotnie rozbije się armię niemiecką, zniszczy sam zarodek sztabu generalnego Rzeszy, jeżeli zniesie się ciężki przemysł i będzie się kontrolować Rzeszę przez czas jakiś — Niemcy przestaną być mocarstwem pierwszej klasy. Myśl ta wydaje się wcale bliska prawdy. Program taki jest wykonalny — jeżeli będziemy tylko tego chcieli. Ale pokonanie Niemiec nie załatwia nam sprawy pokoju. Pozbywamy się — jeżeli rzecz z Niemcami doprowadzimy do końca — jednego zakłóciciela pokoju. Nie tworzymy jednak przez to ery pokoju.

Pokój zaś nie zawita przez to tylko, że dwa, czy trzy, czy cztery wielkie mocarstwa będą miały broń. Trzymanie Niemiec w szachu jest zadaniem zbyt łatwym dla trzech wielkich mocarstw: może to zrobić jedno mocarstwo jeżeli Niemcy istotnie się obezwładni. Mocarstwa te muszą uzgodnić swoją politykę pokoju — co najmniej tak, jak uzgodniły politykę wojny. Wtedy dopiero będziemy mogli żywić nadzieję, że nie wkraczamy w erę nowych starć, nowej konkurencji mocarstw, nowego wyścigu zbrojeń, nowych podejrzeń — na największą skalę.

GOSPODARKA I PLANOWANIE

Trzecim momentem, o który zaczepić się winna sprawa pokoju to program gospodarczy. Postawienie planu, realnego planu, odbudowy gospodarczej, otworzenie nowych możliwości przez prace budowlane . budowę dróg, kolei, i t.d. w skali europejskiej — oto drugi odcinek, na którym można położyć podwaliny pod zespolenie Europy. Amerykańskie plany, ażeby w dolinie Dunaju przeprowadzić wielkie roboty inwestycyjne na wzór *T.V.A.* w U.S.A. /*Tennesee Valley Authority*, twór, który kojarzy inicjatywę państwowa z inicjatywą społeczną/, są w tej mierze wielce obiecujące.

Ale całe zagadnienie planowania musi być traktowane krytycznie i z umiarem. Pisze się setki tomów o potrzebie planowania, ów *planning* jest modny, przy czym wielu autorów nie dostrzega, że te rzeczy już były — w państwach totalnych, które pierwsze wymyśliły planowanie, czterolatki, pięciolatki i t.d. Oczywiście, na swoją obronę ci zwolennicy *planning'u* — mogą powiedzieć, że wszystko zależy od tego k t o planuje. To jasne, że gdyby n.p. planowaniem w Europie kierowali Anglicy do spółki ze Szwajcarami i Szwedami, to można by się spodziewać doskonałych wyników i zadowolenia wszystkich, albowiem byłoby to planowanie ludzkie, liberalne. Jeżeli jednak będą planować inne narody, albo specjaliści narodów nie tak liberalnych i wyrobionych, możemy być świadkami nieludzkiego, by tak rzec, planowania. Będą to przewagi urzędnicze, głupstwo urzędowe, ciasnota profesorsko-biurokratyczna. Będą to schematy profesorów zamienionych na urzędników i urzędników pouczających społeczności po profesorsku. Tego należy się obawiać.

Doskonały i ludzki ekonomista, człowiek mądry, prof. Hayek, ogłosił niedawno książkę, która cieszy się powodzeniem w Anglii — albowiem jest to książka prosta i zrozumiała. Bez balastu uczoności, Hayek tłomaczy w swej pracy *"The Road to Serfdom"*, że — widział te wszystkie wspaniałości gdzie indziej. Zaczynało się to w Rzeszy pod hasłem planowania i skończyło niewolą obywateli. Prof. Hayek potwierdza obawę tych obserwatorów, którzy widzieli również "miłe złego początki" w Niemczech i "żałosny koniec" tych czterolatek i wtrącania się państwa wszędzie.

Planowanie prowadzić może do gospodarczego totalizmu, do niewoli społeczeństw, jeżeli nie będzie utrzymane w ryzach zdrowego rozsądku, jeżeli nie będzie brało pod uwagę czynnika ludzkiego. *Human element* nie może być poświęcany na rzecz teoretyków, nieludzkich profesorów, suchych maniaków liczenia i statystyk. *Human element* musi być uznany w pełni po wojnie — inaczej ta wojna skończy się ideowym zwycięstwem totalnej przemocy w państwach zwycięskich.

Przemoc państwa musi być pohamowana. Dzisiaj zapewne już i mniej "dobrzy" Niemcy mają dosyć tej przemocy. Państwo przeholowało i jeżeli nie popuści popręgów obywatelom — będziemy świadkami buntu przeciwko przemocy państwa, anarchii. Jednostka nie będzie mogła i chciała cierpieć tego ustawicznego wtrącania się państwa do wszystkiego. Konflikt państwa z jednostką jest nieunikniony, jeżeli państwo nie pohamuje swoich apetytów.

Anglia rozumie to i dlatego — nie przeprowadzi *planning'u* tak jak to chcą zrobić rozmaici przybysze z kontynentu: ludzie, którzy nie nauczyli się wiele w czasie pobytu w Anglii, którzy zawlekają do tego liberalnego narodu swoje nawyki i namiętności, którzy zanoszą tutaj swoje wątpliwe recepty. Anglia opierać się będzie kontroli państwa, rozpanoszeniu się władzy urzędników. Już dzisiaj podnoszą się tutaj głosy ostrzeżenia przeciwko "rzadom urzedniczym", wołania o ograniczenie *"red tape"*. Jest to zdrowy odruch społeczeństwa, które wie, że za przewagi urzednicze płaci się drogo — wolnością obywatela. Było by nieszczęściem, gdyby nowa Polska miała dać się zwieść mirażami nadmiernego planowania, gdyby chciała pójść na pasku teorvi, doktryn, rozcinających wszystko jednym zamachem. *Human element* w Polsce musi być uszanowany. Planowanie kosztem obywateli dla zadowolenia urzedniczej fikcji musi być zahamowane — inaczej bowiem stoczymy się po równi pochyłej totalizmu.

* * *

Oto w największym skrócie te sprawy, które musimy mieć na względzie gdy roztrząsamy zagadnienie pokoju. Myśl jednoczenia Europy jest w powietrzu, potrzebę skupienia sił rozbitego i skrwawionego kontynentu rozumieją dzisiaj umysły więcej i mniej światłe, rozumieją je pewnie i społeczeństwa Europy. Wstrząsy sa nieuniknione, namiętności narodowe będą grały, ale właśnie dlatego, że mogą się one rozbujać i zaszkodzić sprawie zjednoczenia Europy, że Europa nie może sobie już pozwolić na tracenie krwi i sił w zapasach niejako domowych — dlatego właśnie trzeba przyjść po wojnie z jasna myśla, dobrym, rzetelnym planem. Trzeba wiedzieć czego się chce i trzeba wiedzieć, jakimi drogami możemy stworzyć w Europie atmosfere przychylną dla uprawy Europejczyka.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Szkic sytuacyjny

NA ZIEMI WŁOSKIEJ

Nie sposób pisać o działaniach na froncie włoskim bez wzruszenia: dywizje polskie okryły się sławą, imię ich obiegło znowu prasę światową. Żołnierz polski, który okólną, jakże okólną drogą dążył do tego, by mógł nareszcie walczyć jak równy z równymi, uzbrojony w nowoczesny sprzęt, który chciał walczyć jak człowiek wolny, pod swoimi znakami — dokonuje dzisiaj olbrzymiego wysiłku, ażeby wesprzeć naszą sprawę. Albowiem powiedzmy sobie jasno i otwarcie, że czyn polskiego żołnierza we Włoszech przyszedł bardzo na porę, w chwili zdecydowanie ponurej, ciężkiej. Czyn jego jest również i czynem politycznym i dlatego właśnie tak doniosłym.

Inni, bardziej powołani od piszącego te słowa, korespondenci wojenni "Polski Walczącej" opiszą te chwile. Do mnie, jako do cierpliwego kronikarza tej wojny, piszącego swoje szkice zdala od frontów, należy tylko stwierdzenie doniosłości czynu żołnierzy polskich. *Kto miał sposobność przeglądać wyciągi z prasy światowej z ostatnich dni, ten odczuwał tę radość z naszego sukcesu szczególnie dobitnie: miało się wrażenie jakiegoś przełamania złej passy.*

Front włoski ruszył się. Linia Hitlera może okazać się silna — propagandowo, jak ongiś Linia Mareth. W wojnie nowoczesnej staliśmy się sceptykami na temat siły tych czy innych linii. Wiele wskazuje na to, że Niemcy nie mają do rozporządzenia nadmiernej ilości dywizyj na południe od Rzymu. Czy znaczy to, że istotnie wycofają się oni na północ od Wiecznego Miasta — nie sposób osądzić. Fakt jednak, że odległość między Sojusznikami, prącymi od Gaety a przyczółkiem Anzio poważnie się zmniejsza i że istnieje możliwość połączenia się tych odcinków — może wpłynąć na strategię niemiecką i skłonić ją do wycofania się za Rzym.

W chwili, gdy piszemy te słowa port w Gaeta jest w rękach Amerykanów a jego wyzyskanie nie powinno zabrać wiele czasu. Gaeta jest najlepszym portem na przestrzeni od Neapolu do Livorno. Przez port ten będzie można "pompować" sprzęt i posiłki. Opanowanie Gaety stworzyło dalsze doskonałe możliwości. Nadbrzeże koło portu jest nizinne, zatem rozwinięcie szyku czołgów byłoby o wiele łatwiejsze. Podobnie dolina rzeki Liri doskonale się nadaje do takich manewrów. Nie wiemy tylko na razie, czy zalewy, jakie Niemcy zaczęli w dolinie tej przeprowadzać, są takich rozmiarów, że alianci nie będą mogli posuwać się czołgami.

Ożywienie się frontu włoskiego pozwala snuć od razu przypuszczenia i żywić nadzieje, które mogą się jeszcze nie sprawdzić. Optymizm wyziera z licznych ocen militarnych. Generał Smuts, premier Unii Płd. Afrykańskiej w mowie wygłoszonej w Birmingham w czasie nadania mu obywatelstwa honorowego tego miasta, powiedział, że należy oczekiwać wielkich rzeczy po wypadkach we Włoszech, że właściwie front ten — jeżeli w pełni stanie się czynny — będzie drugim frontem. Front jaki otworzy się od zachodu będzie zatem trzecim frontem.

Wszystko wskazuje na to, że Sojusznicy zaczynają traktować front włoski "poważnie". Jeżeli z chwilą nastania lepszej pogody lotnictwo przejdzie do akcji a czołgi będą miały możność rozwinięcia się — to wówczas istotnie front włoski, zbyt długo zastygły w bezruchu, może przynieść niespodzianki.

Na froncie włoskim mamy do czynienia z całkowitym i pięknym braterstwem broni. Obok jednostek brytyjskich walczą amerykańskie, obok hinduskich — polskie, obok francuskich — australijskie, obok "wolnych" Włochów — południowi Afrykańczycy. Jest to prawdziwy front Narodów Zjednoczonych i należy żywić nadzieję, że ten plon nie przepadnie, że z tego braterstwa /podobnie jak ze wspólnoty narodów w RAF'ie/ zrodzi się jednak duch zrozumienia między narodami, które biorą udział w walce.

NA WSCHODZIE — OCZEKIWANIE

Wojska sowieckie nie przejawiają żywszej działalności, co nie może zdziwić nikogo, kto uprzytomni sobie ogrom ich wysiłku, dystans przebyty przez armię czerwoną i konieczność przegrupowania sił, podciągnięcia sprzętu. Doniesienia korespondentów z Moskwy powiadają, że na front odchodzą wielkie ilości sprzętu. Szczególnie artyleria idzie na front w olbrzymich ilościach. Również lotnictwo bombowe podsuwa się w znacznych ilościach na lotniska przyfrontowe.

Kiedy uderzy armia sowiecka nie wiemy. Ale co raz wyraźniej zarysowuje się to, że jednak jej "odpoczynek" jest planowy, że w tej właśnie "przerwie" alianci naprzód uderzali wroga z powietrza, teraz przeszli do akcji we Włoszech i że ruszenie się wojsk czerwonych zależne jest od układu między *Big Three*.

Dane, jakie ogłoszono na temat pomocy dla Rosji ze strony W. Brytanii i Ameryki są imponujące. Ilości sprzętu dostarczone Rosji są naprawdę wielkie. Tysiące czołgów i maszyn lotniczych — takie ilości muszą zaważyć na losach bitew, nawet w naszych czasach, kiedy zużycie sprzętu jest tak niesłychanie szybkie. Ostatnio admiralicja brytyjska powiedziała, że szlakiem arktycznym dotarł do Rosji konwój, który przywiózł ponad 250.000 ton materiału wojennego. Po drodze konwój ten atakowany był ostro przez niemieckie okręty podwodne, przy czym dwa z nich zostały na pewno zatopione, dwa prawdopodobnie, a kilka uszkodzono.

MISJA DO CHIN

Wice-prezydent Stanów Zjd. p. Henry Wallace wyjechał z misją do Chin. Jest to ważny krok ze strony Stanów; wydaje się, że misja ta jest bardzo na czasie. Jak donosiły pisma amerykańskie, ostatnie wydarzenia w Chinach wywołały żywe zaniepokojenie w USA. Pewne koła obawiały się, że Chiny zniszczone wojną, dalej licho uzbrojone, finansowo nadszarpnięte, zagrożone inflacją — nie wytrzymają dalszej walki. Tego rodzaju paniczne pogłoski znalazły wyraz przed kilku dniami w depeszy z Nowego Yorku do londyńskiego *"Daily Mail"*.

Do Waszyngtonu przybyła chińska misja wojskowa, a kierownik jej podkreślił konieczność najszybszego przyjścia Chinom z pomocą. Wydaje się, że pomoc zbrojna dla Chin jest dalej niewystarczająca. Droga birmeńska nie daje się tak łatwo "zastąpić"; mimo wysiłków przekopania nowych dróg, budowy nowych szlaków, przerzucania sprzętu samolotami nad olbrzymimi górami — nie da się jednak załatać braków. Rosną one w miarę tego, jak Japończycy coraz ostrzej naciskają, jak zasoby samych Chin się kruszą, jak polityka finansowa i podatkowa w kraju w ciągłym i przeciągłym stanie wojny zaczyna się zupełnie rozprzęgać.

Henry Wallace wyjeżdżając ze Stanów zapowiedział, że odwiedzi nie tylko Chiny, ale także i Syberię i że pomoc amerykańska do Chin pójdzie sprawniej.

Zapowiedź ta będzie spełniona, a raczej spełniana. Nie jest to proces łatwy. Ale niewątpliwie dla sprawy sojuszniczej jest ważne, aby Chiny były w wojnie, ażeby nie zostały z tej wojny niejako "wyrwane", by stały się one wielką bazą działań w przyszłości.

Dla zapaleńców teorii "wielkich obszarów" i wielkich mocarstw jest to cios nielada. Okazuje się bowiem, że ludność, obszary i wiele innych rzeczy nie wystarczają — że żadne wielkie mocarstwo nie jest całkowicie samowystarczalne. Co do Chin, to sceptycyzm ten był szczególnie uprawniony. Może dlatego w ostatnich czasach mówi się tylko o wielkiej trójce, a zapomina się o czwartym partnerze. Cyfry co do pomocy udzielanej Rosji, jak i pomocy udzielanej Imperium Brytyjskiemu przez USA — są również jeszcze jednym dowodem, że żadna potęga świata nie potrafi dzisiaj iść sama, że pomoc i wspomaganie się jest potrzebne wszystkim. Żebyż tylko wielkie mocarstwa chciały wysnuć z tego odpowiednią naukę!

WYPADY, WYPADY . . .

RAF oraz lotnictwo amerykańskie podejmują dalej ataki na kontynent. Owych *"sorties"* czyli wypadów nad Niemcy i obszary okupowane przez wroga jest czasem do — 5000 dziennie. Są to cyfry iście niesamowite.

Komunikaty sojusznicze powiadają już dzisiaj otwarcie, że istnieje "Ekspedycyjne Lotnictwo Sojusznicze", a więc grupa — potężna grupa — która wspierać będzie atak na kontynent. Nie wiemy jakie są siły liczebne tej grupy, ale prześcignie ona na pewno wszystko to, co dotychczas w tej mierze oglądano.

Ostatnie ataki na Berlin prowadzone były przez wielkie eskadry amerykańskie. Myśliwce w setkach odprowadzają dzisiaj maszyny nad bardzo odległe cele. To co było niemożliwe jeszcze przed rokiem, stało się z dnia na dzień — rutyną.

Potęga lotnictwa sojuszniczego zarysuje się na pewno w całej okazałości dopiero w chwili uderzenia od strony zachodu /czy zachodu?/. Jeżeli uprzytomnić sobie jak olbrzymie ilości maszyn gromadzi się na wyspach brytyjskich, to istotnie są podstawy do przypuszczenia, że wsparcie lotnicze dla armii inwazyjnych będzie szło w tysiące maszyn. 10.000 samolotów nie było by niczym dziwnym. Gdyby w pewnych fazach wojny w Europie Sojuszniczy rzucili do boju 15 czy 20 tysięcy — było by to zupełnie zrozumiałe. Lotnictwo alianckie operuje dzisiaj pojęciem setek. Niebawem przejdzie w sferę tysięcy.

Gdy sobie przypomnieć chwile sprzed lat czterech, kiedy to liczyła się każda maszyna, kiedy na schyłku *Battle of Britain* cały RAF miał dziewięć /!/ maszyn rezerwy, to dopiero zrozumiemy ogrom przebytej drogi, pojmiemy, jak rozpędziła się produkcja sojusznicza i jakich iście wspaniałych rzeczy dokonano w tej dziedzinie. Miejmy nadzieję, że mocarstwa anglosaskie nauczone kosztownymi doświadczeniami lat poprzednich, nie dadzą sobie już wydrzeć panowania w powietrzu i że na długie lata powietrze będzie ich dziedziną.

Londyn, dnia 21-go maja 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

15 maja: Wojska Sojusznicze przebiły się przez Linię Gustawa we Włoszech, za wyjątkiem rejonu m. Cassino. Wojska francuskie zajęły m. Ausonia i San Giorgio. Oddziały polskie umacniają pozycje, zdobyte przy ciężkich stratach, na płn.-zach. od Cassino.

—Ogłoszono, że z rozkazu Kierownictwa Walki Podziemnej wykonany został w Warszawie w dniu 26.IV. b.r. napad zbrojny na służbowy wóz tramwajowy, wiozący Volksdeutschów i Ukraińców — funkcjonariuszy tramwajów, którzy nieludzko traktują pasażerów polskich.

—W nocy z 14/15 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie polskie samoloty powróciły do bazy.

—W nocy z 14/15 lotnictwo sowieckie bombardowało Rawę Ruską i Stryj.

16 maja: W nocy z 15/16 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty powróciły.

—W rejonie Cassina wojska polskie toczyły zacięte walki na bagnety ze spadochroniarzami niemieckimi, odpierając przeciwuderzenia nieprzyjaciela.

—Ogłoszono komunikat Sztabu N.W. o walkach Armii Krajowej z wojskami niemieckimi w rej. Sochaczewa /4.IV. br./ i Ostrowa Mazowieckiego /5.IV. br./ oraz o licznych działaniach dywersyjnych na tyłach niemieckich.

—Radiostacja "Świt" podała, że Lwów był ostrzeliwany przez artylerię sowiecką.

—Prasa angielska podała wiadomość o ofensywie japońskiej w Chinach. Zajęta została część prowincji Honan.

—Lotnictwo amerykańskie atakowało za dnia cele wojskowe we Francji.

—Prezydent R.P. dekorował odznaczeniami polskimi, za usługi oddane Polskim Siłom Zbrojnym, trzech oficerów brytyjskich i trzech innych przedstawicieli społeczeństwa brytyjskiego.

17 maja: W nocy z 16/17 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty powróciły.

—Po dokonaniu przegrupowania oddziały II. Korpusu rozpoczęły nowe natarcie w kierunku na masyw Albaneta. Zdobyto po zaciętych walkach dwa wzgórza, 593 i 569. Wojska brytyjskie nacierają w kierunku drogi głównej nr. 6. Wojska Sojusznicze zajęły m. Scutari Scauri i Pignataro.

—W czasie tygodnia oszczędności pod hasłem "Salute the Soldier" w Edinburgu dowódca Jednostek Wojska Polskiego w W. Brytanii wręczył organizatorom czek na 500 funtów, zebranych na powyższy cel drogą dobrowolnych składek żołnierzy polskich stacjonowanych w Szkocji.

18 maja: Specjalny komunikat Kwatery Głównej Sprzymierzonych doniósł, że wojska brytyjskie zajęły m. Cassino, podczas gdy Polacy zdobyli klasztor na wzgórzu. Linia Gustawa na południe od Apenin przestała istnieć. Według komunikatu Sztabu N.W., Dywizja Karpacka zdobyła klasztor "Monte Cassino", a Dywizja Kresowa górę Angelo i pasmo górskie panujące od północy nad główną drogą nr. 6. Do końca dnia trwało oczyszczanie terenu z odosobnionych grup oporu przeciwnika.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało z baz Morza Śródziemnego Ploesti i Białogród.

—W Izbie Gmin min. Eden podał do wiadomości, że 47 oficerów lotnictwa brytyjskiego i Sprzymierzonych zostało zastrzelonych dnia 22.III. b.r. w nieznanych okolicznościach w obozie Stalag Luft 3. Wśród zastrzelonych było czterech oficerów polskich.

—Odbyło się inauguracyjne posiedzenie Państwowej Rady Lotniczej w Londynie, które zagaił premier Mikołajczyk.

18 maja: Wojska Sojusznicze we Włoszech zbliżyły się do pierwszych umocnień linii Hitlera. Dywizje polskie zdobyły Villa San Lucia i San Germano. Działając wzdłuż drogi głównej nr. 6., wojska polskie zdobyły rejon Corvo, w systemie pozycyj Linii Hitlera.

—Naczelny Wódz wydał Rozkaz nr. 9, w którym czytamy: " . . . II. Korpus okrył imię Polski sławą nieprzemijającą i dodał świetnych blasków dziejom oręża polskiego. Chwała zwycięzcom spod Cassino".

—Lotnictwo amerykańskie silnie bombardowało za dnia Berlin i Brunszwik.

Wojna na morzu

SPRAWOZDANIE ADMIRAŁA KINGA

Naczelny dowódca Marynarki, U.S.A., admirał Ernest J. King, złożył ministrowi marynarki obszerne sprawozdanie z działalności morskich sił zbrojnych St. Zjednoczonych do marca roku bieżącego. We wstępie adm. King zaznaczył, że nie widzi przeszkód, aby sprawozdanie to zostało opublikowane. Zaznaczył też, że zasadniczym warunkiem skutecznej obrony państwa jest posiadanie wszystkich trzech militarnych dziedzin /marynarki, wojska i lotnictwa/ we właściwej proporcji.

Wiele miejsca poświęcił adm. King lotnictwu. Zgodnie z organizacją sił zbrojnych U.S.A., lotnictwo nie jest tam całkowicie usamodzielnione, jak w W. Brytanii, ale stanowi integralną część marynarki i wojska. Innymi słowy w W. Brytanii — prócz lotnictwa marynarki */Fleet Air Arm/*, istnieje lotnictwo samodzielne */Royal Air Force/*. W Ameryce odpowiednik *R.A.F.'u* nie istnieje — lotnictwo lądowe należy do wojska, morskie do marynarki. Dyskusja co jest lepsze — nie jest naszym zadaniem, ale wypada nam bezstronnie stwierdzić, iż organizacja brytyjska, zapewniająca lotnictwu większą elastyczność organizacyjną, taktyczną i strategiczną, przy równoczesnym istnieniu osobnego lotnictwa marynarki — dała, jak dotychczas, również dobre rezultaty.

Z drugiej strony marynarka U.S.A. wykazała bardzo wiele dbałości o rozwój własnego lotnictwa, zarówno zaokrętowanego, jak i przybrzeżnego, co oczywiście nie wykluczyło bynajmniej współpracy z lotnictwem lądowym, tam gdzie to było konieczne.

Adm. King znaczył, że największym błędem, który w następstwie odbił się fatalnie na operacjach wojennych, były "wakacje morskie" w okresie 1922-38. Idee "rozbrojeniowe" opłacone zostały poważnymi ofiarami na początku wojny. A w roku 1940 trzeba było — po niewczasie — uchwalić w lipcu t.zw. *"Two-Ocean Navy Bill"* /ustawę o marynarce dwu oceanów/, bo istniejące siły morskie nie wystarczały. Dzięki ustawie przystąpiono w szybkim tempie do powiększenia marynarki o 70% to jest o 1.325.000 ton. I mimo wielkich strat, udało się utrzymać przygniatającą przewagę liczebną na morzu i w powietrzu.

Ta przewaga stoi dziś u podstaw strategicznych powodzeń oręża amerykańskiego nie tylko na morzu, ale właśnie i na lądzie. Bo bez panowania na morzu — o jakichkolwiek pomyślnych operacjach lądowych nie było by mowy.

Personel, który w sierpniu 1939 roku wynosił 156.198 ludzi, wzrósł do 2.815.744 na dzień 1 stycznia 1944 r. Trzeba było 72.000 cywilów, po krótkim przeszkoleniu, mianować oficerami marynarki, aby sprostać potrzebom kadry i organizacji. Ponad to awansowano na oficerów 20.652 starszych podoficerów.

Dzięki wielkim możliwościom technicznym St. Zjednoczonych, udało się w wyjątkowo krótkim czasie stworzyć potężne narzędzie militarne: 10 flot, walczących na 8 frontach morskich, rozsianych niemal po wszystkich wodach świata.

NASTĘPCA KNOXA

Przez krótki czas nie było wiadomo, kto zastąpi zmarłego ministra marynarki wojennej U.S.A. — Knoxa. Kandydatami byli: szef sztabu prezydenta Roosevelta — admirał Leahy, oraz wiceminister Forrestall. Ostatecznie przeszedł ten ostatni, w myśl starej amerykańskiej zasady, że stanowiska "sekretarzy stanu" winny być obsadzone przez osoby cywilne. Ciągłość została zachowana, jako że M. Forrestall pełnił długi czas obowiązki "podsekretarza", to znaczy wiceministra.

Na jednym z niedawnych posiedzień Kongresu, wiceminister Forrestall wystąpił gorąco przeciw łączeniu marynarki i wojska w jedno wielkie ministerstwo sił zbrojnych. W przemówieniu swoim dowodził, że jeśli operacyjnie jednolite dowództwo jest konieczne, to organizacyjnie takie jednoczenie dwóch odrębnych dziedzin obrony państwa może tylko osłabić siły zbrojne, stworzy szereg przeszkód natury biurokratycznej i fachowej, oraz — zależnie od okoliczności — faworyzować będzie jedną lub drugą dziedzinę ze szkodą dla całości.

Stara to historia, że łabędź, szczupak i rak nie nadają się do jednego zaprzęgu /bajka Kryłowa/.

Zniszczono większą ilość niemieckich korsarzy podwodnych.

WOJNA PODWODNA

Między innymi brytyjska fregata "Spay" zatopiła na północnym Atlantyku w jednym dniu dwa niemieckie okręty podwodne. Z pierwszego wzięto 45 jeńców /czterech później zmarło/, z drugiego 16. Pierwsi mogli na własne oczy oglądać, jak topiono ich drugi okręt podwodny.

W dwunastodniowej bitwie z samolotami i okrętami podwodnymi, brytyjskie siły lekkie, eskortujące ważny konwój do Rosji, zniszczyły 2 okręty podwodne i 2 samoloty nieprzyjaciela. Ze strony brytyjskiej zatonął storpedowany kontrtorpedowiec "Mahratta", przy czym zginęli wszyscy oficerowie i większa część załogi. Tylko 17-tu marynarzy uratowano z lodowatych fal Arktyku.

Wice-admirał Glennie, dowódca północnych sił eskortowych, z najwyższym uznaniem wyrażał się o załogach podległych mu okrętów i samolotów. Wielokrotnie trzeba było rąbać lód, pokrywający pokłady i działa. Lotników, lądujących na lotniskowcu "Chaser" trzeba było wynosić z aparatów, bo tak byli zmarznięci, że nie mogli się ruszyć o własnych siłach. Jeden z lotników, w chwilę po zatopieniu okrętu podwodnego, poddać się musiał na lotniskowcu operacji ślepej kiszki. Z pierwszego okrętu podwodnego uratowano 31 ludzi /w tym dowódcę, słynnego "asa" niemieckiego/. Z drugiego zaledwie 3. Z trzeciego — nikogo. Kilka innych okrętów podwodnych zostało poważnie uszkodzonych.

Pamiętamy wszyscy, jak to w podobnych warunkach działały i walczyły "Garland", "Piorun" i "Orkan" na szlaku arktycznym. Astronomiczne cyfry sprzętu i zasobów dostarczonych Rosji, podane zostały ostatnio przez Churchilla, przy czym premier brytyjski podkreślił bezgraniczne poświęcenie marynarzy, walczących w niezwykle trudnych warunkach bojowych i klimatycznych.

Ostatni konwój przewiózł do Rosji 250.000 ton sprzętu i zasobów wszelkiego rodzaju, nie straciwszy — prócz H.M.S. "Mahratta" — żadnego okrętu.

WE WŁOSZECH

Podczas gdy obie dywizje polskie w ciężkich walkach zdobywały Cassino, lewe skrzydło V-ej Armii stosunkowo łatwo posunęło się naprzód, zdobywając Formię i zbliżając się do Gaety — tej samej Gaety, którą Dąbrowski z Kniaziewiczem zdobywali w kampanii włoskiej 1799 — 1800.

Ten szybki ruch Amerykanów przypisać należy interwencji okrętów wojennych, które wzięły pod swój ogień prawe skrzydło niemieckie i jego tyły. Działa okrętowe po prostu wymiotły Niemców z nadbrzeżnych stanowisk i przecięły ich komunikacje. Znów dowód, jak konieczną jest współpraca wszystkich trzech części składowych sił zbrojnych — wojska, marynarki i lotnictwa — dla osiągnięcia zwycięstwa.

Przypomnieć należy, że Gaeta była już swego czasu bombardowana przez O.R.P. "Piorun".

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

O.R.P. "Ślązak" obchodził w dniu 3 maja dwulecie służby pod banderą Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. W czasie tego stosunkowo krótkiego czasu okręt przepłynął rekordową ilość mil morskich, wyratował 30 lotników sprzymierzonych i 4 nieprzyjacielskich, wyratował także 21 marynarzy i żołnierzy sił brytyjskich oraz 3 Niemców z zatopionego trawlera, wielokrotnie walczył z samolotami, okrętami podwodnymi, bateriami nadbrzeżnymi i t.d. W r. 1942 zdobył rekord zestrzelonych samolotów /4 pewne plus 4 prawdopodobne/, był także m.in. pod Dieppe. Potem uczestniczył w licznych operacjach w Kanale na Manche, na Atlantyku i Morzu Śródziemnym, między innymi pod Sycylią, Salerno i na Dodekanezie. Nie wszystkie wyczyny bojowe "Ślązaka" mogą być ujawnione, jednakże jak na stosunkowo krótki okres dwuletni, okręt ten wysuwa się swą działalnością na jedno z czołowych miejsc.

Jak wiadomo rekord przepłyniętych mil morskich pod polską banderą w tej wojnie posiada wciąż O.R.P. "Garland". Na drugim miejscu jest O.R.P. "Piorun".

Ścigacze polskie uczestniczą stale w operacjach na Kanale La Manche.

JULIAN GINSBERT

Ksiądz Król — kapelan Brygady Podhalańskiej



Zdawało by się niepotrzebne pisanie o tych, co odeszli od nas, w chwili, kiedy na świecie toczy się wojna, kiedy giną setki, tysiące, miliony. Cóż może znaczyć jedno życie ludzkie, gdy jesteśmy świadkami tylu śmierci bezimiennych. Świat umęczony cierpieniem ludzkim zobojętniał na krew i rany, zapomniał miary śmierci, którą kiedyś stosował. A jednak coś woła w nas czasem i kołacze, coś woła i targa nagłym przypomnieniem minionego, które pozostało daleko za nami, w chwilach najcięższych, kiedy towarzysz ubywa z szeregów.

Są śmierci i śmierci. Wielkich i maluczkich, znanych i nieznanych, cenionych i niedocenionych, jak są sprawy Wielkie i małe, ważne i nieważne: Boskie i ludzkie. Są śmierci rozgłośne, po których długo jeszcze pulsują w antenach świata słowa o nich mówiące i są te, o których nikt nie wie, o których zbyt szybko zapominają nawet przyjaciele, druhowie serdeczni i towarzysze broni.

Taką jest też wymowa śmierci, o której dziś piszę. Śmierci, o której powiedziała mi jedna jedyna klepsydra podpisana przez Duchowieństwo Wojskowe. "Zginął śmiercią żołnierską dnia 17 kwietnia 1944". To tak dużo i tak mało zarazem. Jedna jedyna klepsydra od tych, z których szeregów odszedł prawdziwy żołnierz Chrystusowy, wierny towarzysz i uczciwy pracownik. Jak tylu innych, co byli przed nim i jak tylu, którzy przyjdą jeszcze, aż się wypełni miara Dobrego i Złego i nadejdzie Dzień bez początku i końca i zapanuje Bóg Prawdy i Miłości. Ten sam Bóg Prawdy i Miłości, którego ksiądz Król, żołnierz Polski i żołnierz Chrystusowy, każdym słowem, każdą myślą i każdym uczynkiem wyznawał.

Był któryś dzień majowy 1940 roku. Stałem na tylnym pokładzie s/s "Chenonceux", zapatrzony w piany smużące za nami, w długą drogę wiodącą z Francji ku brzegom dalekiej Norwegii, kiedy podszedł do mnie jakiś nieznany mi kapitan. Miał na sobie kożuszek przepasany pasem, na głowie beret podhalański z trzema gwiazdkami. Miał do mnie interes. Prosił, aby mu pomóc w zaimprowizowaniu ołtarza na pomoście górującym nad tylnym pokładem, który z kompanią zajmowałem.

—Jutro — powiedział, — będziemy tu mieli mszę, więc trzeba to jakoś urządzić. Potraficie kolego kochany, prawda? — zapytał tak prosto, jakby to samo przez się miało rozumieć, że potrafię.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, spóźniwszy się na ową mszę świętą, i wcisnąwszy się z trudem na ów górny pomost, na którym chłopaczyska ochotnie zbudowały ołtarz ze skrzynek amunicyjnych, ujrzałam owego "kapitana" odwracającego się od ołtarza przy słowach *"Dominus vobis cum"*. Było w jego twarzy wielkie skupienie, jakiś wyraz niespotykanego rozmodlenia, coś z wielkich natchnień, rządzących duszami tych, którzy potrafili wyjść poza zamknięty krąg naszego życia. Była w rysach księdza Króla pogoda i pogodzenie się ze światem złym, któremu trzeba przebaczyć, a może i przede wszystkim pełna świadomość obcowania z Tym, którego wyznawał i którego Słowo głosił. Był dziwnie daleki w owej chwili, w tym swoim krótkim, na mgnienie oka, zapatrzeniu się w szare, bezkresne morze, przelewające się w wieczystym ruchu, spienione i zwichrzone grzywami falujących pian morskich, jak musiał być w owe popołudnie nad jeziorem Genezaret, jego Mistrz-Bóg i człowiek.

Był daleki a zarazem, jakże bliski tym spojrzeniem głębokim, sięgającym w głąb serca i mózgu, spojrzeniem, które może mieć tylko człowiek, który poznał Prawdę miłowania bliźniego. A kiedy po raz wtóry odwróciwszy się, wypowiedział *"Ite missa . . ."*, przypomniało się to samo słowo, pozostawione daleko za sobą, zaklęte w dalekie echo kościółka wiejskiego, na którego stopniach, oczyma wyobraźni, wtedy go ujrzałem.

Stał tak samo, górując wysoko nad rozmodlonym tłumem żołnierskim, jak stać musiał przed wiekami Ten, którego sługą być potrafił. Był wielki swą Małością.

W kilkanaście dni potem — było to 20 maja — po krwawej walce, w której żołnierz krwią i życiem płacił, miałem po raz drugi zobaczyć księdza Króla. I znowu w tej samej roli, chociaż w zgoła odmiennych warunkach, gdzieś w dolince, między Haakvik a wzgórzem 405, w domku norweskim. Miał w nim o 5-ej rano odprawić mszę dziękczynną na prośbę żołnierzy plutonu, z którego pozostało szesnastu. A kiedy wszyscy przystąpili do stołu, przy którym ową mszę odprawiał, widziałem znowu ten sam wyraz twarzy i dalekiego zapatrzenia, jakiego byłem świadkiem na statku.

Bo nie z tego świata było królestwo, którego przyjście głosił.

Miał szczególny dar obcowania z ludźmi i podchodzenia do nich z dziwną prostotą: ludzką i serdeczną. Może właśnie ten dar jednał mu serca żołnierskie. Nie chciałbym tworzyć legend, lecz muszę na tym miejscu powiedzieć, że prócz tego daru, posiadał może większą jeszcze łaskę, jaką niewielu wielkich jego poprzedników posiadało: władzę kruszenia sumień jednym dobrym słowem, jednym spojrzeniem, lub często jednym jedynym dobrym uśmiechem. To też byłem świadkiem, kiedy tych "najbardziej zatwardziałych" do wiary przywracał z taką prostotą, z jaką musieli nawracać ongiś apostołowie głosząc słowo Prawdy i Żywota. Byłem świadkiem kilku takich nawróceń ludzi, którzy przedtem z dumą podkreślali swoją obojętność dla spraw wiary.

A potem, kiedy przyszedł znowu dzień krwi, widywałem go często wożącego rannych zarekwirowanym czy pozostawionym nam w spadku przez Brytyjczyków, dobrze na odcinku znanym "Dodgem", którym żołnierze "wygrażali" sobie w żartach wzajemnie:

—Czekaj, bracie, pojedziesz "Dodżką", z księdzem Królem.

Albo: — Czekaj, zabierze cię ksiądz Król.

— Bo istotnie, tam, gdzie był ogień czasem trudny do zniesienia, gdzie było "źle" i głodno, tam na pewno ujrzeć można było księdza Króla. Był "kuli nie bojący" — wierzył. Ratował nie tylko dusze, ale niósł ulgę cierpieniom tych, którzy najwięcej tego potrzebowali. Nosił i zbierał rannych, "dokarmiał" smakołykami i zaopatrzał w "paliwo", chował poległych wespół z podchorążym P. i doktorem B. lekarzem batalionowym, to też ktoś nazwał go nie kapelanem, ale "żołnierskim księdzem".

Księdza Króla znał na odcinku każdy — do ostatniego żołnierza. Wbrew przesądom i żartom, nie przynosił jakoś pecha, za to przynosił ze sobą w ciężko wyładowanym plecaku norweskim, dźwiganym z mozołem pod górę, wszystko to, co uważał za potrzebne żołnierzowi. Pamiętam jak pewnego razu — a strzelali niezgorzej — ksiądz Król przyszedłszy na odcinek począł wyciągać z owego plecaka różne smakołyki. A kiedy ujrzał, że kilka puszek z mlekiem i konserwami kupowanymi w kantynie angielskiej w Harstad, zostało podziurawionych, zmartwił się tylko tymi dziurami, nie pomyślał o ogniu, pod którym czołgając się aż tu, przeszedł.

Pewnego dnia zapytałem niemądrze, czy księdzu wolno strzelać do ludzi, no powiedzmy na wojnie, do Niemców? Uśmiechnął się dziwnie i powiedział:

—Widzicie, z księdzem jest tak, jak i z kijem: jak Pan Bóg dopuści. To może by i ksiądz w obronie własnej i kraju mógł sobie do Niemca strzelić? Tylko tak, aby broń Boże go nie zabić" — poprawił się, jakby mu się nagle wstyd zrobiło, że może kogoś na świecie za wroga uważać i że mógłby kogokolwiek "ukrzywdzić".

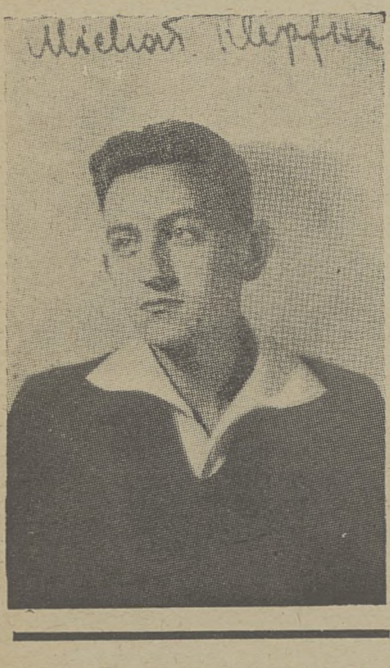
Taki był ten dziwny człowiek, dla którego życie było miłowaniem i zaprzeczeniem wszystkiego tego, co stanowi jego treść i jego formę dla nas. A kiedy mu dziękowano za to, co dla nas zrobił, próbował się gniewać, tłumacząc, że "nijak było z pustymi rękoma: nie po ludzku i jakoś nie po polsku, więc dlatego. . . ." I nie tylko to, ale miał dla każdego ten sam dobry uśmiech, z którym odwracał się od ołtarza, jeno bliższy, braterski i bardziej ludzki: rozumiejący. Kochał w żołnierzu człowieka, tego człowieka, którego w każdym umiał się doszukać.

Jakie były dalsze losy księdza Króla, nie wiem. Rosja, Bliski czy Środkowy Wschód? Rzadkie słuchy dochodziły tutaj "na wyspie", do uszu tych, którzy nie potrafili go zapomnieć. Jak "tam" było nie wiem. Ale pewny jestem, że "tam", gdzieś daleko, gdzie przez te wszystkie lata przebywał z żołnierzem, musiało być tak samo.

I dlatego mi ciężko pomyśleć, że go już nie ma między nami, że zabrakło go w szeregu właśnie w chwili, która nadchodzi. Tak ciężko, jak ciężko musi być umierać na obcej ziemi, po której stąpając, wysoko niósł głowę, w zapatrzeniu na rzeczy dalekie dla nas żołnierzy, do których z sercem podchodził. Ciężko pomyśleć, żyjącym, dla których żył i pracował.

CEZARY SZASZKIEWICZ

Bohater ghetta — kawaler "Virtuti Militari"



"Wódz Naczelny nadał 18 *lutego* 1944 *roku pośmiertnie srebrny Krzyż Virtuti Militari inż. Michałowi Klepfiszowi z Warszawy".*

Ten krzyż nie zawiśnie na jego grobie. Grób ten pozostanie nieznany, jak prawie wszystkie groby żołnierzy wielkiej Armii Podziemnej w Kraju.

Dziwnie, jak sława szła za młodym Michałem. A on sam był zaprzeczeniem wszelkiej za nią pogoni. Był cichy i skromny. Tak, jak jego cała rodzina. Znaliśmy ich wszystkich blisko i dobrze. Ojciec i matka byli nauczycielami szkół powszechnych w Warszawie. Matka, Maria, była kierowniczką jednej z państwowych szkół powszechnych w Warszawie i przez długie lata do wybuchu wojny przewodniczącą Zarządu Głównego Zw. Żyd. Nauczycieli. Rodzice całe swoje życie oddali cichej, ale często, w czasach carskiego reżymu, jakże niebezpiecznej służbie w ruchu socjalistycznym. W tej skromnej, ale i ofiarnej atmosferze wyrósł ich młody Michał. Uczył się świetnie i warszawską Politechnikę ukończył z odznaczeniem tuż przed wojną.

Pamiętam go za jego czasów studenckich. Co wtorek spotykaliśmy się na zebraniach bundowskiej organizacji akademickiej "Ogniwo". Prawie nie przypominam go sobie przemawiającego. Ale zawsze był tam, gdzie trzeba było coś zrobić, gdzie trzeba było bezinteresownie oddać swój czas, energię, a czasami i zdrowie. Jego równowaga duchowa była przysłowiowa. I taką była jego wiara w dobroć ludzką. Miał przyjaciół wszędzie. Był Żydem, socjalistą żydowskim. Ale duchowo nic nie miał wspólnego z żadnym ghettem. I wierzył głęboko w Polskę bezghettową.

Miał olbrzymio rozwinięte poczucie obowiązku. Ludzkiego, obywatelskiego. I miał głęboki instynkt wspólnoty losu ludzkiego. I już jako 20-letni chłopak dał temu świadectwo.

Latem 1934 roku w okolicach Nowego Sącza /pod Łąckiem, jeśli mnie pamięć nie zawodzi/, tuż nad Dunajcem rozbudował swoje namioty obóz letni "Zukunftu" /młodzież robotnicza Bundu/. Ale w lipcu nawiedziła tę okolicę straszna powódź, która wyrządziła olbrzymie szkody materialne i kosztowała dużo /jak na owe szczęśliwe, jakże dawne czasy . . ./ żyć ludzkich. W obozie znajdował się też młody Klepfisz. A rzeka wezbrana, nosiła na swych dzikich falach to część chałupy, to nieżywe cielsko krowy lub psa. Na wzgórzach, okalających tę najpiękniejszą polską rzekę, zrozpaczeni mieszkańcy okolicznych wiosek w modlitwach szukali pocieszenia i nadziei. Ale oto ukazała się na rzece pół rozwalona chata. A w niej — niemowlę w kołysce. Nad brzegiem wśród wielu innych ludzi stał Michał. Obok niego jego matka. Spojrzeli tylko na siebie. I po chwili Michał borykał się z olbrzymimi falami. Ale zrobił, co uważał za swój ludzki obowiązek. Dziecko uratował i tegoż wieczora przez Polskie Radio nadawano po raz pierwszy nazwisko Michała Klepfisza, któremu starosta powiatowy dziękował za bohaterski czyn.

I drugi raz mówiło o nim radio polskie. Tym razem podziemne — "Świt". W pierwszych dniach maja 1943 roku opowiadało o tym, jak w nocy z 18 na 19 kwietnia rozgorzała zbrojna walka na terenie ghetta warszawskiego, jak ludzie od lat głodzeni, słabo, potajemnie uzbrojeni, rzucili się na stokroć lepiej uzbrojonego wroga, by drogo sprzedać swoje życie, by nie pójść dobrowolnie do obozów "pracy", będących faktycznie masowymi mordowniami tysięcy.

Dziś wiemy już dokładnie, że ta walka na śmierć i życie, bez rannych i bez jeńców, była planowana od wielu miesięcy przez robotników żydowskich, zatrudnionych na terenie ghetta w niemieckim przemyśle zbrojeniowym. Dziś wiemy, jak bardzo kaci hitlerowscy bali się oporu swoich ofiar i uciekali się do najpodlejszych kłamstw, by oszukać naiwnych, przyrzekając im w specjalnych odezwach, rozlepianych na murach domów, a podpisanych przez niemieckiego "Komisarza dla Spraw Przesiedlenia Mieszkańców Dzielnicy Żydowskiej" Waltera Troebbensa, że zostaną oni urządzeni lepiej, niż dotychczas, i — co najważniejsze — by nie uwierzyli agitacji Żydowskiej Organizacji Bojowej.

I opowiadając dalej o niezwykłym bohaterstwie bojowników ghetta, osamotnionych w swojej walce, mających tylko za sobą moralne oparcie w podziemnym ruchu polskim z poza ghetta, rozumiejących doskonale, jaki może być fizyczny koniec i rezultat tej "drugiej bitwy o Warszawę", "Świt" wymienił jedno nazwisko — Michała Klepfisza. I to samo powtórzyło się w telegraficznym doniesieniu z Warszawy, przesłanym przez Delegata Rządu: "Zginął bohaterską śmiercią inżynier Klepfisz, członek "Bundu", jeden z filarów zbrojnego oporu". W sprawozdaniu, które przed kilku tygodniami dotarło do Londynu z Warszawy podane zostały bliższe szczegóły zasług Michała Klepfisza w przygotowaniu powstania warszawskiego ghetta. Był on tym, który zorganizował, potajemną oczywiście, wytwórnię materiałów wybuchowych w dzielnicy żydowskiej. I dalej jest powiedziane w tym sprawozdaniu: "Bez pomocy Michała powstanie było by niemożliwe".

Michał Klepfisz zginął w walce już w pierwszych dniach powstania. Ale walka trwała znacznie dłużej. Po stronie niemieckiej walczyło co najmniej 6.000 żołnierzy SS i Gestapo. Niemcy walczyli tchórzliwie, nieraz uciekając i przez pierwsze dwa tygodnie nie śmieli w nocy w ogóle wejść na teren ghetta. Przeciwko ludziom uzbrojonym najwyżej w karabiny maszynowe i granaty ręczne użyli czołgów, artylerii i nawet samolotów. Palili całe ulice, zanim odważyli się w nie wtargnąć.

Jeszcze w połowie czerwca, a więc w 7 tygodni po rozpoczęciu walk, bojowcy prowadzili wciąż walkę podjazdową na terenie ghetta. O klęsce moralnej Niemców świadczy chociaż by fakt, że w maju 1943 r. został usunięty ze stanowiska szefa Gestapo okr. warszawskiego von Sammer, któremu kierownicze czynniki hitlerowskie zarzucały, że był winien temu, że około 1000 Niemców zginęło podczas walk w ghetcie.

W tych strasznych dniach na ulicach polskiej części Warszawy kolportowana była odezwa Centralnego Kierownictwa Ruchu Polskich Mas Pracujących, w której, m.in. było powiedziane: "Robotnikom i pracownikom narodowości żydowskiej . . . przesyłamy braterskie pozdrowienie i zapewnienie, że czyn ich nie przejdzie bez echa. Wejdzie on w legendę Polski walczącej, stanie się wspólnym dorobkiem ludu Polski, dorobkiem, na którym wzniesiony zostanie gmach odrodzonej Rzeczypospolitej".

. . . I razem ze sztandarami zwycięskich wojsk przez Aleję Ujazdowską i przez spaloną ulicę Smoczą przejdzie sztandar, który wisiał na samotnej barykadzie ghetta. I na Wielkiej Rewii, gdy na baczność staniemy przed duchami żołnierzy wielkiej armii wolności, którzy walczyli o Polskę, zobaczymy wśród nich bojowników warszawskiego ghetta i chorążego tych bojowników — Michała Klepfisza.

LUCJAN BLIT

Wizyta w Dywizji Karpackiej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Żołnierze Karpackiej niosą rannego



Na stanowisku ogniowym artylerii Karpackiej

I.

Niełatwo jest dotrzeć do zagrzebanej w śniegach Dywizji Karpackiej. Wóz jednak przebrnął przez zaspy i zadymki i stoi teraz na dziedzińcu przed kasynem. Pasażerowie przytupują, a kierowca prawdziwie po polsku "zabija" rękami dla rozgrzewki. Jest to wysoki mężczyzna z wąsami, ma wygląd sandomierskiego chłopa. Pochodzi z Kanady.

Mamy więc gości — siedmiu korespondentów zagranicznych. Zanim dokonamy aktu prezentacji, czytelnicy pozwolą, że zedrzemy welon tajemnicy, osłaniający cel tych odwiedzin. Symboliczny guzik, po którego naciśnięciu spadła na nas ta lawina następstw, znajduje się w brytyjskim ministerstwie wojny w Londynie. Naciśnięciem guzika była depesza do VIII-ej Armii, zapowiadająca, że lada dzień zostaniemy zdemaskowani. Wtajemniczonym ten termin wystarczy. Oznacza on, że wolno nam będzie z powrotem nałożyć orzełki i przyszyć emblemat świerka na rękawy. Od tej depeszy — mówiąc stylem mojego przyjaciela spod Żywca — "okazaliśmy się być we Włoszech."

Gdy to czytacie, dawno już radio brytyjskie, kanadyjskie, amerykańskie oraz prasa codzienna i tygodniowa sprzedały w milionach egzemplarzy nasz pobyt u stóp Abruzzów. Powiedzmy jednak czasowi, który niecierpliwie wyskakuje naprzód, władcze wojskowe "wróć" i wejdźmy ze skonanymi dokuczliwą drogą gośćmi do kasyna.

Czujecie to przyjemne ciepło, jakie rozchodzi się od kominka? Patrzcie, jak John Redfern z *Daily Expressu* zaciera nerwowo ręce na widok zastawionego stołu, aby tym objawem ożywienia ukryć wilczy apetyt, wyzierający mu z oczu. Benoit Lafleur, trochę groteskowy, przez co jeszcze bardziej wzruszający typ francuskiego Kanadyjczyka, wpakował bezceremonialnie nogi w kominek — truchleję, że usmaży sobie buty. Paul Morton, młodzieniec o powierzchowności Leslie Howarda, przykładny typ astenika, wrzucił się w fotel i ogląda nonszalancko sufit. Nie musiała przedstawiać się zachęcająco ta wizyta u Polaków, okupiona odysseą przez zaśnieżone góry. Dziennikarze od t.zw. *newsów* /po polsku — "szlagerów"/ jechali z posępną świadomością, że Alamein im nie zagraża. Korespondenci *stories* /opowiadania/ szybko zestawili w pamięci wszystkie reportaże o Tobruku, Gazali, Polakach z Rosji i t.d. i sposępnieli również, orzekłszy, że "Polska jest wybrana do dna przez kolegów."

W tych warunkach zadanie gospodarzy wydawało się nad wyraz trudne. A jednak nie ugięliśmy się pod jego ciężarem. Zawdzięczamy to niezawodnemu środkowi oliwiącemu dusze radością i siejącemu błogą harmonię między ludźmi. Myślę — rzecz jasna — o *whisky "White Horse"* Johna Dewersa.

Jakoś nagle wszyscy poczuli się dobrze. Sam nie wiem dlaczego jestem z astenikiem Paulem per "*my dear friend.*" Benoit Lafleur poklepuje rzęsiście po plecach jedynego przedstawiciela ziemiaństwa kresowego. Przy kominku kasynowym Pat Conger z *United Press* prowadzi niezmiernie namiętną rozmowę z porucznikiem, o którym wiem, że nie rozumie po angielsku.

Morton lubi studenckie dyskusje i wierzy, że Rosja zbawi świat, jeżeli tylko wyrzekniemy się naszych nierozsądnych praw do życia. "Poco — powiada Paul — upieracie się przy waszych polskich błotach, kiedy wzamian możecie dostać coś znacznie lepszego. Chcecie, to założymy wam nową Polskę w Kanadzie. Mamy świetną *whisky* i doskonałe papierosy. W potokach łowi się mnóstwo łososi i pstrągów. Polowania udają się znakomicie. Dostaniecie śliczną nową ojczyznę".

Zachwycał się tą kanadyjską Polską, jakby to był najnowszy model Packarda. Z największym trudem wytłumaczyłem Mortonowi, że w Europie istnieją wciąż jeszcze ludzie, przekładający romantyczny wóz drabiniasty nad samochód o sile stu koni.

Gdyśmy wychodzili z kasyna, czarna noc wisiała nad światem. W drodze do domu uświadomiłem sobie, że śnieg pod nogami skrzypi tak samo, jak w wigilię 1935 roku na rogu Złotej i Marszałkowskiej. Nie wiem, czy Morton zrozumiałby mnie w tej chwili.

II.

Rano kolumna *jeepów*, poprzedzana kanciastym żandarmem na motocyklu, ślizga się posłusznie po zwojach górskich szos, spływając ku wojnie. Z łoskotem wjeżdżamy na mostki saperskie o powierzchni z drewnianych bali, po których samochód dudni jak po klawiaturze fortepianu.

W Isernii do dziś dobywają spod gruzów trzy tysiące poległych, uduszonych i zasypanych żywcem. Nalot trwał dziesięć minut. Całe dzielnice sterczą jak piszczele zwłok, ogryzionych przez wilki.

Był to kataklizm, o jakim człowiek średniowiecza nie śnił w najbardziej gorączkowych majaczeniach. Na ciche miasteczko spadła pewnego wrześniowego popołudnia huraganowa śmierć. Niewidzialna furiacka pięść tłukła na oślep po mieście, po kruchych domkach, po renesansie, po baroku, po zaułkach, gdzie słońce wiosenne sączy się jak przez witraże, po arkadach i podcieniach, zbudowanych przez lud włoski — tego natchnionego prostaka i genialnego artystę.

Isernia znikła nam z oczu i nowe obrazy kładą kres rozważaniom o ginącym pięknie Italii. Tor kolejowy, biegnący równolegle do drogi zniszczony jest totalnie, zwalono go z zimnym wyrachowaniem. Ale jedna mała stacyjka ustrzegła się zagłady. Stoi cała jak pieniądz. Zachował się nawet rozkład jazdy na ścianie poczekalni i okienko kasy biletowej. Chciało by się stanąć przy nim i czekać na nadejście kasjera. Tylko dokąd pojechać?

Im bliżej frontu, tym ziemia bardziej potłuczona jest przez wojnę. Złe moce potargały domy, pozdmuchiwały jakieś rodziny, jakieś plany życiowe.

W pewnym miejscu każą nam opuścić samochody. Teren znajduje się pod obserwacją nieprzyjaciela. Poczucie niebezpieczeństwa nie przenika jednak do świadomości. Gdzieś o siedem kilometrów, po drugiej stronie doliny są niemieckie posterunki obserwacyjne. Nikt nie potrafi ich jednak dostrzec. Przechodzimy odcinek drogi w pojedynczych grupach i jesteśmy w rejonie stanowisk. Po drodze widać żołnierzy. Na tle śniegu są prawie niedostrzegalni.

Życie na stanowiskach płynie na pozór pokojowo. Ktoś wychodzi na patrol, ktoś wraca. Tadek Sowicki, poeta — Karpatczyk, zakwaterował się w starożytnej ruderze, szczęka zębami z zimna i zapewne tęskni do Sharbashakh.

Sam fakt mieszkania w domu wydaje mu się czymś niezwykłym. Po tylu latach pustyni, płóciennego dachu i włóczęgi, wrócił nagle pokój z firankami w oknach, komodą i obrusem na stole. Dziwne i zabawne. Trzeba było aż przyjechać na front po to, aby mieć znowu numer domu.

III.

Z jednego stanowiska przerzucamy się na inne. Jesteśmy w miasteczku, jakie widywało się jedynie na obrazkach dla dzieci. Uczepione jest do skały i spada urwiskami we wszystkich kierunkach. Nigdy nie przypuszczałem, że coś podobnego może istnieć naprawdę.

Dla odwiedzających ważny jest fakt, że miasteczko wyparło się samochodów. Żaden *jeep* nie potrafi wspiąć się na ten apeniński Monsalvat. Kosztuje to około godziny rzetelnej wspinaczki. Nie żałuje się jej jednak po obejrzeniu tego małego klejnotu architektury. W miasteczku wciąż jeszcze rozgrywa się pierwszy akt "Rigoletta". Czasem otworzy się okno w ciasnej uliczce i podnosisz głowę, by ułowić aksamitne spojrzenie i uśmiech dziewczęcy. W oknie ukazuje się jednak wąsata twarz w hełmie stalowym. Na balkonach stworzonych do arii z gitarą, wiszą niemieckie hełmy i inne trofea z wyprawy w *no-man's land*.

Na pustym placyku przed barokowym kościołem radio wyhukuje komunikat polski z Londynu. W opuszczonej tawernie włoscy *commandosi* piją wino z żołnierzami Dywizji Karpackiej. Patrol odchodzi w ziemię niczyją. O bogowie, gdzież publiczność do tego spektaklu, który pisze się sam i gra się sam na tej nieporównanej scenie!

Orły krążą nad tym urwiskiem. Czasem "latające fortece". Czasem nasz patrol spotka się w *no-man's landzie* z niemieckim. Wtedy głucho dudnią salwy. Czasem świeci słońce, niekiedy śnieg prószy. Czas płynie, ludzie przychodzą i odchodzą, tylko góry urwiste, srebrne Apeniny trwają niezmienne, urągając wojnie i kruchości ludzkich spraw.

IV.

Ostatnia wyprawa zaprowadziła nas na szczyt wyniosłej góry, gdzie w skale i lodzie biwakuje samotny oddział polski. Wspinaczka trwała około godziny. Paul Morton oświadczył z miejsca, że namawianie dziennikarza na takie końskie spacery jest idiotyzmem, a poza tym dali mu na komisji kategorię "D". Po czym wspiął się jak koza na szczyt, wyprzedzając nas co najmniej o dziesięć minut.

Rycerskość gospodarza nakazała mi pozostać w ogonie maruderów. Na szczycie odnajduję Mortona i Congera, "wstukujących" się w napotkanych żołnierzy.

—Skąd pan się tu wziął?

—Z Rosji.

—Co pan tam robił?

—Pracowałem na Kałymie.

—Ile pan ma lat.

—47.

—Czy był pan przedtem na jakiejś wojnie?

—Chyba! Gdybym nie bił się w dwudziestym roku, nie polowałbym w czterdziestym na białe niedźwiedzie.

Trudno rozejrzeć się tutaj wokoło, bo wiatr miecie w oczy śniegiem. Życie nie musi być jedwabne pod tymi cienkimi namiotami. Najmłodszy żołnierz na posterunku ma 19 lat. Gdy wybuchła wojna był dzieckiem.

—A pan był w Rosji? — indaguje Morton.

—Tak, wywieźli nas.

—Kto?

—Bolszewicy. Mamusię, siostrę i mnie.

—Za co pana zesłali?

—Za nic. Może za to, że byłem Polakiem.

W takich sytuacjach zmienia się temat.

—*Well*, Niech pan mi da swój adres pocztowy. Napiszę o panu w gazecie. U nas w Kanadzie jest dużo miłych dziewcząt, które przyślą panu listy i fotografie.

V.

—Czego nam w Kanadzie brak, to tych kilku stuleci tradycji — powiedział Morton kiedyśmy wracali.

— Macie wdzięk starego narodu.

—Tak, ale za to płaci się wielką cenę.

—O, nie chcę żeby ją płaciła Kanada. Wasz świat jest niebezpieczny. Właściwie powinniśmy się odgrodzić od Europy, jak to zrobiła Japonia w XVII-ym wieku. Europa — to piękny, niepraktyczny przedmiot, skazany na zagładę. Jeśli chcecie się uratować, musicie ją opuścić.

—Nie opuszcza się bliskich w nieszczęściu.

Chwila milczenia.

—Wierzę w kulturę amerykańską. Ta ma sens. Moja żona jest prostą dziewczyną, wolną od waszych problemów. Córka rybaka. *Daughter of a fisherman.*

—*Pescatore* — wtrąciłem. Po włosku to brzmi o wiele piękniej.

VI.

Kłopotliwe są chwile pożegnań. *Jeepy* stoją obładowane betami, a my silimy się, aby powiedzieć coś uprzejmego naszym odjeżdżającym gościom. Morton, jak każdy neurastenik, zawsze pierwszy wyczuwa chwilę, kiedy towarzystwo zaczyna się nudzić. Oczywiście nadrabia elokwencją.

—Patrz, Benoit, dziura od kuli.

Chodzi o dziurę w płaszczu, wypaloną papierosem. Benoit się krzywi.

—Kula nie musiała być mocna, skoro nie przeszła dalej.

Wreszcie, ostatnie uściski dłoni i odjazd. Notesy pękate od notatek, zostaną dziś jeszcze rozładowane. Żołnierz Dywizji Karpackiej uruchomił na kilka godzin dalekopisy transoceaniczne, linotypy w Toronto, Nowym Yorku i Londynie, oraz aparatury kilku rozgłośni. Oto wartość naszego wysiłku zbrojnego w dziedzinie propagandy.

Koniec opowiadania. Dowidzenia koledzy — handlarze drukowanego słowa. Dowidzenia, Paul Morton, przybyszu z puszczy. Podejrzewam, że dotknął cię jednak bakcyl europejskiej kultury. Wypierasz się jej, jak sztubackiej miłości. Ukrywasz ją przed sobą. Bądź zdrów. Mam nadzieję, że nasze drogi skrzyżują się jeszcze w tym życiu.

WITOLD DOMAŃSKI

CASSINO

W tydzień po wejściu do akcji II. Korpus polski we Włoszech osiągnął powodzenie wielkiej, największej skali. Zatknął dnia osiemnastego maja biało-czerwony sztandar na gruzach klasztoru w Cassino, który od pięciu miesięcy zagradzał wojskom sprzymierzonym drogę w głąb ziemi włoskiej. Znaczenie strategiczne tego zwycięstwa jest doniosłe i zostało w pełni docenione. Ale ma ono jeszcze inny sens, kto wie czy nie bardziej istotny — polityczny i moralny.

"Nie była to tylko bitwa o Cassino, była to bitwa o Polskę" — w tych słowach dowódca II. Korpusu streścił ten drugi sens czynu podległych mu żołnierzy. Wspinając się po urwistej, stromej górze, ziejącej morderczym ogniem — pokazali oni swiatu, że istnieje ciągła, nieprzerwana linia, prowadząca od września 1939 roku, przez Bałkany, Syrię, Palestynę, Egipt, przez rozłogi Rosji europejskiej, Rosji azjatyckiej, Persję, Irak — linia konsekwentnej walki przeciw Niemcom. Przecież to żołnierze wrześniowi, jeńcy po-wrześniowi, "turyści" po-wrześniowi szli na bunkry, blokhauzy, gniazda karabinów maszynowych wszczepione w spadziste zbocza góry klasztornej. Przecież to uczestnicy bitwy polskiej, oblężenia Tobruku, ataku pod Gazalą wytrzymali straszliwy wysiłek natarcia czołowego w najtrudniejszych, jakie można pomyśleć, warunkach terenowych.

Jednym uderzeniem, pełnym męskiej dumy żołnierze II. Korpusu obalili perfidny, oszczerczy sztafaż propagandy, montowanej przeciw nam z wielu stron, od wielu lat. Odpowiedzieli na nią językiem o nieodpartej dobitności, argumentem o uderzającej każdego oczywistości. Pokazali Niemcom, jak się biją żołnierze "państwa, którego nie ma", "armii, która przestała istnieć po dwu tygodniach". W starciu wręcz, w walce na bagnety z wyborowym, najbardziej fanatycznym żołnierzem Hitlera pokazali, iż "nie chcą się bić z Niemcami", pokazali, jak to na swój, polski sposób — "zdradzają sprawę sojuszniczą".

To jest bijąca w oczy wymowa polityczna bitwy pod Cassino. Staje się ona jeszcze bardziej wyrazista, jeśli się przypomni, że olbrzymi odsetek żołnierzy II. Korpusu pochodzi z ziem wschodnich Rzeczypospolitej, że przeszli oni przez lata niewoli, zesłania i cierpień, że ostatnie miesiące były dla ich "morale" ciężką próbą. W ogniu walki okazał się to żołnierz z hartowanej stali, żołnierz najlepszej próby, zdolny do podjęcia zadania trudnego, najtrudniejszego, zdolny spełnić to zadanie bez reszty.

Wbrew wszystkiemu, wbrew nawet naszym własnym powątpiewaniom i obawom, krwawe doświadczenie pod Cassino objawiło zdrowie, siłę, zwartość, nerwową wytrzymałość, fenomenalną odporność polskiej rzeszy żołnierskiej. W rozpoznaniu tej prawdy ważny jest nie tylko fakt wytrzymania siedmiodniowego natarcia, ale także niezwykle wysoki procent strat w kadrze dowódczej, nawet wśród dowódców wyższych.

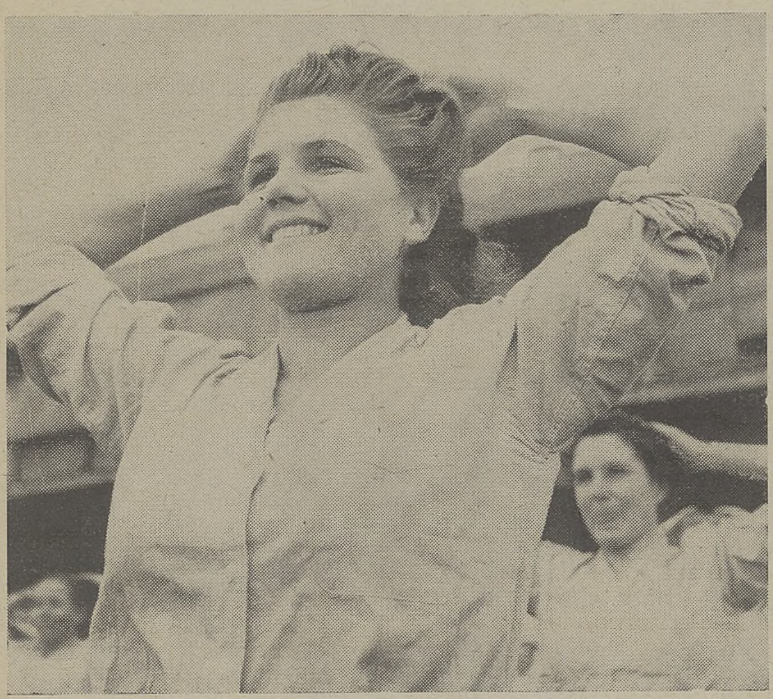
Wszystko to składa się na moralny sens zwycięstwa pod Cassino. Ma ono znaczenie jako sprawdzian i jako przykład — jako sprawdzian wartości najwyższego rzędu i jako przykład na dni próby, które stoją jeszcze przed naszymi Siłami Zbrojnymi.

Ale dokonanie, które w tak wielkim stopniu przekracza granicę czynu wojennego, czysto wojskowego, które w tak wielkiej mierze ma znamiona wydarzenia politycznego i zwycięskiej próby moralnej — jest czymś, co zobowiązuje nie tylko żołnierzy, jest czymś, co zobowiązuje wszystkich myślących i czujących po polsku, wszystkich w jakimkolwiek zakresie odpowiedzialnych za dobro sprawy polskiej.

Żołnierze spod Cassino, i ci, którzy doszli na szczyt, mieli szczęście salutować sztandar wpływający pod włoskie niebo, i ci, którzy ustali na stokach zdobytej cytadeli, żądają od nas nie tylko udziału w zapracowanej przez nich radości i dumie, żądają także udziału — zgodnego, sharmonizowanego, ofiarnego — w ich krwawym trudzie.

ALEKSANDER JANOWSKI

Sady kwitną na Wołyniu



Na lekcji gimnastyki

Morze jest spokojne i szare. Sobota popołudniu, więc dużo ludzi wyległo na promenadę. Jedni spacerują, inni wygrzewają się na słońcu. Jakaś rodzina rozkłada podwieczorek na ławce. Dzieci grają w klasy na chodniku. Tu i ówdzie żołnierze stoją oparci o balustradę i żartobliwie zaczepiają przechadzające się dziewczęta. Starsza chuda pani prowadzi zapasionego buldoga na smyczy. *"Sorry". "Lovely day! . . ." "So sorry"*. Typowy *week-end* w typowym miasteczku nadmorskim.

Po drugiej stronie promenady stoi szereg domków. Przedwojenne wille, hoteliki i pensjonaty, stoją dziesiątkami, setkami, bliźniaczo do siebie podobne. Jak w dziesiątkach, setkach innych miasteczek. Tyle tylko, że zamiast wesołych w barwne stroje ubranych letników, w domkach tych mieszkają kobiety w niebieskich mundurach. Rozbrzmiewa w nich dziwny, dotąd w tych okolicach nieznany język. Domki te, to kwatery pięciuset ostatnio przybyłych z Afryki ochotniczek do Polskiej Pomocniczej Służby Lotniczej.

Okna pokoju wychodzą na północ i blask słońca widać tylko na ścianie domu naprzeciwko. Ośm czy dziesięć przepisowo zasłanych łóżek, na środku stół nakryty białym obrusem. Deski niedawno wyszorowanej podłogi są jeszcze mokre, w powietrzu unosi się zapach wilgoci.

Konstancja siedzi na krawędzi materaca i czyści złote guziki munduru. Ma siwe oczy i czarne krótko obcięte włosy. W ramach sztywnego kołnierzyka WAAF-owskiej koszuli twarz jej wydaje się specjalnie szczupła i drobna. Konstancja ciągle zaznacza, że jest już staruszką. Ma lat 35.

—"A dobrze było, nie możnu się uskarżać" — mówi śpiewnym głosem — "zaczynalimy od samego początku, ale Pan Bóg pozwolił i dorobili się. Dwanaście hektarów ziemi ornej i cztery sianokosu. I sadek mieli, a jakże, bydła pięć sztuk, dwa konie, dziesięć owiec. Dobrze było, nie możnu powiedzieć".

Konstancja jest córką gospodarza wiejskiego z osady Kaczynowszczyzna, powiatu Stołpeckiego. Skończyła trzy oddziały szkoły powszechnej, potem młodo wyszła za mąż za osadnika wojskowego. Osadnicy tylko co najlepsze dziewczyny na wsi wybierali, więc ojciec, honorowi chcąc sprostać, wyprawę jej okazałą kupił i urządził sute wesele. Dopiero jak ją mąż na osadę zawiózł zrozumiała, że ona, gospodarska córka, na biedę tylko i ciężki trud poszła. Ani domu nie było, ani płotu, ani stodoły. Pracowała ile sił w rękach, ale po sześciu miesiącach nie wytrzymała i uciekła z powrotem do ojca, na zaścianek, aż mąż musiał po nią przyjeżdżać, prosić, perswadować.

Wróciła. Zaczęli od samego początku, ale Pan Bóg pozwolił. Twarz Konstancji rozjaśnia się. Mówi, jak po kilku latach całe gospodarstwo postawili, jak rok w rok żyto, jęczmień czy kartofle sprzedawali do miasta. Na każde święta skarmiali dwa albo trzy prosiaki, jałówkę. Do Nieświeża czy Horodzieja furmanką w parę koni zaprzężoną jeździli na jarmark, czy odpust. Dobrze było, zamożnie, po gospodarsku.

Tak trwało i szło ku lepszemu do września, 1939 roku. Świat Konstancji na miarę ludzi z miasta nie był duży, w promieniu sięgał może wszystkiego 40 kilometrów; był jednak dla niej bardzo pełny, był własnymi rękami w ciężkim trudzie zbudowany i stał spokojny, solidny, zdawało by się — niewzruszony.

Aż przyszła zawierucha. Nie ta, co mocą ogromną nawet najpotężniejsze drzewa do ziemi przygina albo z korzeniami wyrywa, ale ta, mózgiem człowieka obmyślona i przez człowieka rozpętana. Wichura przejdzie i co mocniejsze drzewa przetrwają, ale któż oprzeć się może maszynie zmyślnej, potwornej, co wszystko na swej drodze zmiata i miażdży?

W pierwszych dniach września nad osadą zaczęły przelatywać samoloty. Czyje były, Konstancja nie bardzo wie. Potem przeciągnęły długim sznurem czołgi. Wkrótce zaczął się na wsi niepokój, pojawiły się bandy obce, zaczęli nachodzić, grozić, nalegać. Gdzieś w listopadzie umarł jej mąż i została sama z dwojgiem małych dzieci. W parę dni potem przyszedł komisarz. Zabrał bydło. Potem konie. Potem już na oczach Konstancji obcy ludzie zaczęli jej własny grunt odmierzać i dzielić między sobą.

Aż wreszcie w styczniu 1940 roku zajechała rankiem ciężarówka przed dom i kazali Konstancji wsiadać. Nie wiedząc, gdzie ma jechać i poco, zapakowała na prędce co najcenniejszego, chustkę jakąś, dwie puchowe poduszki wyprawne, ręcznie haftowane prześcieradło i pojechała. Na stacji w Stołpcach pierwszy raz w życiu wsiadła do pociągu. Mimo próśb i protestów, dzieci jej załadowano do innego wagonu. W dwa dni później w zapchanym masą ludzką pociągu wyruszyła w świat.

Od tej chwili opowiadanie jej zaczyna się gmatwać. Pojawiają się w nim nowe słowa — "szałon", "medewede". Nie pamięta nazwy obozu, w którym przebyła półtora roku, nie pamięta, dokąd wysłano jej dzieci.

Następny epizod, o którym mówi dużo, długo i boleśnie, to poszukiwanie dzieci. Zwolniona z obozu, dowiedziała się od sąsiadów ze wsi adresu sierocińca. Nie miała pieniędzy, a może nie mogła się dostać na "szałon", więc wyruszyła na piechotę. Po tygodniu, brnąc po śniegu, błocie, zgłodniała, dotarła do odległego miasta i odnalazła sierociniec, ale dzieci tam już nie było. Odesłano je gdzieindziej. Więc znowu "szałon", znowu poszukiwania, znowu zawody.

Gdzieś w zapadłej mieścinie, zgubioną w głębi obcego lądu, znalazł ją ktoś, obiecał szukać dzieci, a samą dołączył do transportu i odesłał na południe.

Dalszego ciągu podróży w żaden sposób odszyfrować nie można. Jest dużo "szałonów," są "parochody". Są morza — trzy czy cztery, bo nie pamięta, są góry wysokie i piasek, pustynia. Persja? Palestyna? Może była w Indiach? Nie wie.

W Afryce, w osiedlu polskim w Masindi, przemieszkała prawie rok. Źle nie było, tyle tylko, że gorąc, że chorowała na malarię i jak wszystkim polskim osiedleńcom, dokuczały jej jakieś "pchełki", wżerające się w skórę i pozostawiające wrzody. Mieszkała w domku z trawy i bała się murzynów, "bo to takie czarne — mówi — i głowa, i nogi i caluśki!" Potem jednak strach jej minął, bo i murzyni nauczyli się po polsku i często kupowała od nich owoce, albo kury. Też ludzie.

W ośrodkach afrykańskich dawano Polakom kawałki ziemi do uprawy. Na moje pytanie, jak jej się gospodarstwo w Masindi podobało, Konstancja zaczyna się śmiać:

—"Gospodarstwo, paniczka?! — i zaśmiewa się — grunt?! Taż to tyle tego było co przez tę izbę, grządka jedna! Tylko, że człowiek buraczków trochę a cebulki posiał, ani mówić o czym nie ma!" — Śmieje się, aż jej oczy łzami zachodzą.

Obecnie dwie poduchy wyprawne sterczą dumnie na żelaznym łóżku RAFowskim, haftowanym ręcznie prześcieradłem nakryty jest fasowany kuferek. *Airwoman* Konstancja J. przybyła do Anglii. Podróżuje. Po co? Dlaczego? Przecież ten olbrzymi i bezmierny świat, który przejechała, oszołomił ją, ale nie zainteresował. Mało z niego przejęła, mało w nim zobaczyła.

Konstancja chce wrócić do swojej ziemi. Konstancja chce wrócić do świata, do którego należy, jak drzewo należy do ziemi. Do świata wapnem bielonych chat, smukłych brzóz i różnokolorowych malw. Świata przejrzystych ranków i wieczorów tak spokojnych, że słychać skrzypienie żórawia w sasiedniej wiosce. Ciągle jeszcze szuka swoich dzieci, ciągle się o nie bezradnie i każdego pyta. Ale dzisiaj na ten powrót ma swoje własne, filozoficzne spojrzenie. Kiedy zapytałam ją, dlaczego zgłosiła się do lotnictwa, Konstancja poprawiając sztywny kołnierzyk koszuli WAAFowskiej odpowiedziała: — "Żeby pomóc. Co się tak będziemy tułać i tułać?! Jak nie ja i moje, to niechaj ciaż cudze dziecka wrócą". Po prostu.

Konstancja jest jedną z pięciuset Polek, przybyłych niedawno z Afryki do służby w lotnictwie. Przybycie tak wielkiego transportu postawiło poważny problem przed władzami departamentu szkolenia technicznego Królewskiego Lotnictwa, któremu podlegają, w ramach WAAFu, oddziały polskiej Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet. Wobec bardzo różnorodnego poziomu wykształcenia — od dyplomów uniwersyteckich do kilku oddziałów szkoły powszechnej — trzeba było zorganizować szereg specjalnych kursów; trzeba było ponadto wprowadzić od razu forsowną naukę języka angielskiego, który ze względu na przyszłą służbę na lotniskach w Wielkiej Brytanii wszystkie ochotniczki muszą chociaż w pewnej mierze opanować.

Szkolenie nowo-przybyłych odbywa się częściowo pod kierunkiem polskich, a częściowo brytyjskich oficerów i podoficerów. Na bulwarze nadmorskim widzi się dywizjony polskie wykonujące sprawnie musztrę angielską, pod angielską komendą. Tak samo w wielkiej sali odbywa się, pod kierunkiem angielskiego oficera oświatowego, zbiorowa lekcja angielskiego.

Jak sobie z tym obcym językiem dają nasze ochotniczki radę? Zadziwiająco dobrze. Na polecenie *"Put your hand on your head"* Konstancja J. i wiele jej koleżanek położy pewno rękę na kolanie. Ćwiczenie będzie powtórzone, raz, drugi, trzeci, aż wreszcie wszystkie zrozumieją i zrobią je dobrze. Tak samo na mustrze. Sierżantki czy kapralki angielskie dla ułatwienia sobie pracy wprowadziły system demonstracji na modelach, które stoją przed frontem dywizjonu i wykonują komendy, a za nimi dopiero powtarza ćwiczenie oddział. Aż się nauczy.

Do tego systemu szkolenia potrzeba dwu rzeczy: cierpliwości i dobrej woli. Tak jednej, jak drugiej widziałam na owej stacji RAF bardzo dużo. Oficerowie i podoficerowie za główny cel w okresie szkoleniowym postawili sobie zdaje się pomoc i jak największe ułatwienie pracy ochotniczkom, one zaś, od początku już, do służby swej i obowiązków odnoszą się z ogromną ofiarnością i sumiennością.

Większość ochotniczek, to wieśniaczki, dla których wojsko, musztra i mundury muszą być zupełną, czasami trudną do pojęcia nowością. Zgłaszając się ochotniczo do służby lotniczej w odległej Anglii zrezygnowały one dobrowolnie z możliwości spokojnego przeczekania do końca wojny w Afryce, w niezłych warunkach. Konstancja w swym smutku i osieroceniu nie jest sama, takich tragedii, bolesnych i bezmiernych jest tam, w obozie RAFu, blisko pięćset . . .

Z tych wielu kobiet, z którymi rozmawiałam, nie mogę zapomnieć jeszcze jednej. Duża, dorodna dziewczyna, o twarzy jasnej i szybkim uśmiechu. Na imię ma Klementyna. Klementyna przyjechała do Anglii, żeby zostać mechanikiem lotniczym. Mówi bardzo dużo o życiu w Afryce, o swych planach w służbie lotniczej, o tym, że musi się koniecznie nauczyć angielskiego. Klementyna oczekuje jeszcze bardzo dużo od życia i bardzo dużo w nim może zrobić.

Córka gajowego z okolic Kobrynia, została wywieziona z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa. Po paru miesiącach umarli oboje rodzice. Po nich 15-letnia siostra — z głodu. Potem w drodze na południe, na dezynterię, brat.

—"Tak go po prostu wyjęli z wagonu i położyli obok toru kolejowego, i pociąg odjechał". — Klementyna mówi to wszystko głosem spokojnym, wskazując ręką ziemię. Potem, nagle, zaczyna histerycznie płakać, ale opanowuje się, mówi dalej: — "Na jakiejś małej stacyjce wysiadł najstarszy brat, 20-letni, po wodę; pociąg ruszył, zanim zdążył wrócić i od tej pory już ślad po nim zaginął. Dalej jechaliśmy we troje: młodszy braciszek, siostrzyczka i ja". Potem, już u kresu podróży chorowali na tyfus. Brat umarł. Z rodziny ośmiu osób zostały dwie dziewczyny — Klementyna i jej młodsza siostrzyczka, która obecnie jest w polskiej szkole w Tanganice. — "W Palestynie to na mnie mówili "głupia" — powiada Klementyna. "Bo ja i naprawdę byłam głupia". — I potakuje głową.

Klementyna jest pełna entuzjazmu. W służbie lotniczej poza obowiązkiem widzi przyjemność, bawi ją trochę rygor wojskowy, interesują przepisy, musztra. Klementyna na 19 lat, jest zdrowa, silna i chce zacząć życie od nowa. Obok niej stoi w szeregu Natalia, Weronika czy Paraska, która ma lat 42 i której siły są już może nieco nadwątlone, której świat już istniał. I razem, jednakowo, wykonują musztrę, grają w siatkówkę na plaży, czy wkuwają angielski.

Wszystkie są zadowolone z przyjazdu do Anglii. W dużej mierze przyczynia się do tego życzliwość, z jaką przyjęli je Anglicy: władze WAAF, RAF i ludność miasteczka. Po czterech latach tułaczki znalazły się teraz w atmosferze przyjaźni i serdeczności, a im prędzej poznają kraj i język tym łatwiej przyjaźń ta się zacieśni.

Dobry początek został już zrobiony. Trudno nie lubić tych łagodnych, chętnie się uśmiechających kobiet, o gładko zaczesanych włosach i schludnym wyglądzie. Trudno skarżyć się na te ochotniczki, które bez grymasów wykonują wszystkie zarządzenia, nikomu nie przysparzają kłopotów, a kwatery swe — po gospodarsku — utrzymują w takiej czystości, że aż trzeba było zabronić codziennego szorowania podłóg.

Pół świata objechawszy, wieśniaczki polskie zajechały do angielskiego nadmorskiego miasteczka. Przyglądają się sklepom, próbują odczytywać napisy na ulicach, spacerują po wybrzeżu. Dwie z nich spotkałam na promenadzie. Oparte o żelazną balustradę patrzyły przed siebie, na nieruchome, szarzejące już po zachodzie słońca morze. Jakby do siebie, kontynuując myśl przerwaną, odezwała się jedna, przeciągając śpiewnie:

—"A na Wołyniu akuraćku sady kwitną".

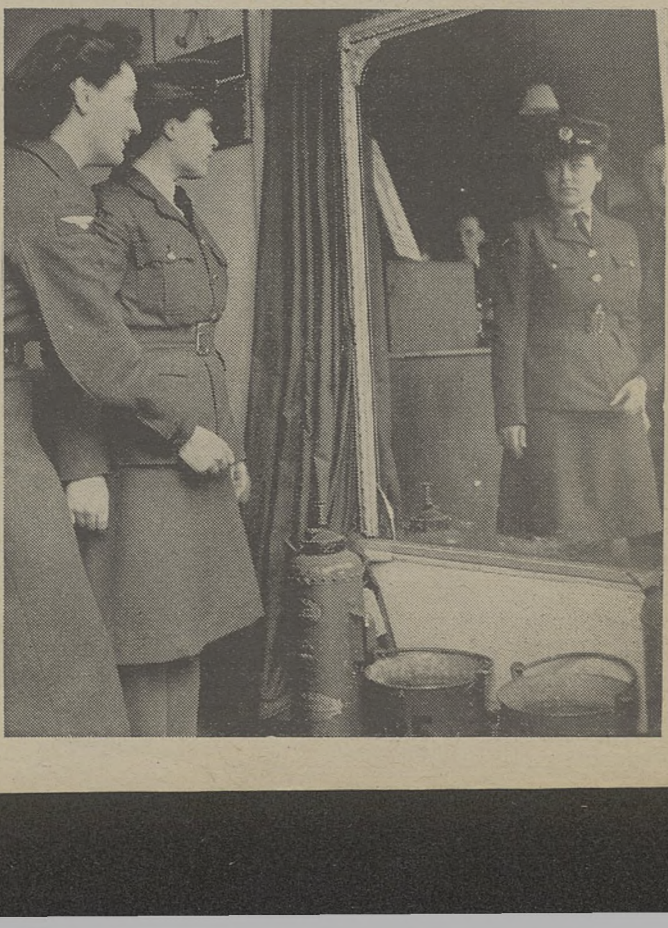
Kwiecień, 1944 roku.

HALINA TOMASZEWSKA

Po pobraniu umundurowania



Przymierzanie Waafowskiego munduru



Lekarz na froncie bojowym

(Na podstawie opowiadań amerykańskich lekarzy wojskowych)

I.

Nie ma dla żołnierza ucieczki przed zasadzkami zagrażającymi na froncie jego życiu lub zdrowiu, nawet wiara w cuda nie na wiele się przyda. Jedynym cudem w tej wojnie, w który można i należy wierzyć, jest ludzki cud wiedzy i umiejętności lekarza. Wojna, zwłaszcza wojna nowoczesna, wymaga od lekarza przede wszystkim umiejętności. Obojętne jest dla rannego, czy lekarz jest dobrym żołnierzem z punktu widzenia wojskowego, może być nawet najgorszym, byle by tylko znał swój zawód lekarski. Znaczenie lekarza na wojnie było do niedawna nie doceniane, traktowany był w wojsku jako zło konieczne i lekceważony. Popularnie nazywano go "lewatywą" /o ile posiadał stopień oficerski/, lekarzy szeregowców — "łapiduchami". W niektórych armiach, nawet jeszcze obecnie, pod tym względem, nie wiele się zmieniło.



LEKARZ WOBEC RANNEGO

Zadaniem lekarza na wojnie jest ratowanie życia i zdrowia, przede wszystkim a nawet wyłącznie, ciężko rannych. Tak sprawę postawiono w armii amerykańskiej i angielskiej. W innych armiach nakazywano lekarzom opatrywać wpierw lekko rannych, którzyby mogli wziąć udział w dalszej akcji bojowej. Wychodzono tu z założenia użyteczności żołnierza na froncie. Ciężko ranny nie wchodził już więcej w rachubę jako efektyw bojowy, więc uważano, że można się nim zająć później, zazwyczaj jednak ciężko ranny ginął na polu walki lub w drodze do lazaretu, z powodu spóźnionej pomocy.

Amerykanie i Anglicy, jak wszystkie inne narody kulturalne, uznają zasadę, że walczący chce widzieć rezultat swej ofiary krwi i zdrowia — dlatego należy go ratować. Państwo nic nie zyskuje na śmierci swego obywatela, przeciwnie bardzo wiele traci, życie i zdrowie żołnierza nawet całkowicie bezużytecznego pod względem wojskowym, jest najcenniejszym dobrem, na którego straży stoi lekarz. To też lekarz w armiach naszych sprzymierzeńców zachodnich jest wysoce ceniony, niemniej od zwycięskiego generała, który mógł przecież sukces odnieść przede wszystkim dzięki zdrowiu żołnierzy. Lekarz nie jest w mocy uchronić żołnierza przed bezpośrednią śmiercią w czasie bitwy i to żołnierze rozumieją lecz dzięki jego wiedzy i poświęceniu, ranni i chorzy mają olbrzymie szanse wyzdrowienia a nawet i powrotu na front.

Nowoczesna wojna wysunęła nowe problemy ratowania życia żołnierzy na froncie. Procent śmiertelności wśród rannych w ostatniej wojnie wynosił w armii amerykańskiej 7, w wojnie obecnej spadł do 1.2%. Ranni na froncie nie są jedynymi stratami. Więcej żołnierzy umiera na malarię, czerwonkę, szkorbut lub wskutek niewłaściwego odżywiania, niż od ran w akcji bojowej. Chorzy żołnierze w szpitalach amerykańskich przewyższają prawie trzykrotnie rannych od pocisków. A poza chorymi fizycznie są jeszcze chorzy nerwowo. Choroby ustroju nerwowego nie są bynajmniej lżejsze od uszkodzeń ciała. Około 30 procent żołnierzy w szpitalach przebywa na oddziale chorób układu nerwowego.

RANY NA WOJNIE

Najpowszechniejszymi ranami na wojnie są obrażenia kończyn /rąk i nóg/, złamania i oparzenia. Rany klatki piersiowej, brzucha lub kręgosłupa bardzo często kończą się śmiercią na polu bitwy. Śmiertelność wśród rannych w brzuch, którzy przetrzymali czas transportu z pola bitwy do szpitala wynosiła w poprzedniej wojnie 80 procent, dzisiaj procent ten spadł do 5. Postęp taki zawdzięcza się nowym instrumentom chirurgicznym, jak i nowym metodom leczenia każdego typu rany. Lecz rzeczywistym przewrotem w leczeniu wszystkich ran są nowe środki lecznicze jak: połączenia sulfamidowe, przetaczanie krwi, środki przeciwtężcowe, oraz olbrzymie zwiększenie szybkości w niesieniu pomocy rannemu.

Poważnym niebezpieczeństwem dla życia rannego jest wstrząs nerwów /szok/, krwotok, zakażenie rany i opóźnienie pomocy. Wiedza i organizacja właściwie pokonały te cztery niebezpieczeństwa. Większość żołnierzy i marynarzy, którzy zginęli w ostatniej wojnie z ran, mogłaby żyć, gdyby już wówczas były stosowane środki przeciwtężcowe i przetaczanie krwi oraz gdyby już były wynalezione sulfamidy.

Ofiary wstrząsu, wywołanego eksplozją pocisków, to nie ranni w tym zwykłym znaczeniu, niemniej uszkodzenia ich ustroju są bardzo ciężkie. Nie mają otwartych ran, nie krwawią, wydają się jakby popadli pod działanie jakiegoś tajemniczego bakcyla wojennego, który powoduje doprowadzające do szału jęczenie, zataczania się, zawroty głowy lub siedzenie przez długi czas bez najmniejszego ruchu.

"SUCHA KREW" I SULFAMIDY

W wypadkach wstrząsu stosuje się chorym dożylne zastrzyki krwi. Ten prosty środek znany był na wiele lat przed 1918 r., jednak wówczas nie odkryto jeszcze sposobów przechowywania krwi i oddzielania części płynnej od stałej. Odkrycia tego dokonał dopiero w r. 1936 rosyjski lekarz S.S. Judin, w czasie prób doświadczalnych nad transfuzją krwi z ludzkich zwłok. Obecnie we wszystkich niemal państwach zbiera się krew od ochotniczych dawców, którą po odpowiednim spreparowaniu dostarcza się w stanie suchym do szpitalów polowych.

Stosowanie krwi w wypadkach wstrząsu lub krwotoku usunęło w znacznej mierze niebezpieczeństwo zagrażające życiu żołnierza. Dwie inne przyczyny śmierci — opóźnienie i zakażenie — są ściśle od siebie zależne, musi bowiem upłynąć pewien czas, aby nastąpiło zakażenie. Dawniej uważano, że ranny mógł pozostać bez opatrunku najwyżej 6 godzin, nie narażając się na niebezpieczeństwo zakażenia. Dzisiaj jednak dzięki sulfamidom, w które zaopatrzeni są lekarze jak i żołnierze na froncie, okres bezpieczeństwa przedłużony został o wiele godzin, a nawet dni. Obecnie każdy żołnierz aliancki posiada w swym bojowym zaopatrzeniu również i pigułki sulfathiozolu oraz 5 gramów kryształków sulfamidowych. W wypadku zranienia zażywa pigułki, względnie posypuje ranę kryształkami.

Po ataku na Pearl Harbour większość rannych została opatrzona w szpitalach już w ciągu kilku godzin, jest przeto zrozumiałe, że mimo straszliwych ran od oparzeń zakażenia były nieliczne, jednakże śmiertelność wynosiła około 3 procent. W czasie walk na Guadalcanal śmiertelność wskutek zakażeń spadła poniżej 1 procent, a w Afryce Północnej wielu rannych dostało się do szpitala dopiero po kilku dniach i mimo tak znacznego opóźnienia pomocy, zmarło wskutek zakażenia zaledwie 0.5 procent. Z 4039 rannych, opatrywanych na okręcie szpitalnym na Południowym Pacyfiku zmarło tylko 7 od zakażenia, a więc mniej niż 0.2 procent. I to wszystko dzięki sulfamidom.

Przekonano się równocześnie, że sulfamidy nie tylko zmniejszają niebezpieczeństwo zakażenia, lecz również usuwają konieczność radykalnych cięć, t.j. otwierania ran dla oczyszczenia z obumarłych tkanek, które są źródłem infekcji. Sulfamidy czynią również niepotrzebne wcześniejsze w wielu wypadkach zamknięcie rany lub zeszycie. A im mniej cięć, badań, opatrywań i przewijań — tym mniejsze niebezpieczeństwo zakażenia.

Źródłem zakażenia może być ziemia, zawierająca cząstki kału, strzępy mundurów, wbitych w ciało wraz z pociskami, ewentualnie zarazki już znajdujące się w ciele. Bardzo niebezpiecznymi wrogami żołnierza rannego na froncie jest tężec i gangrena gazowa, wywołane swoistymi bakteriami. Zastrzyk przeciwtężcowy, udoskonalony przez francuskiego bakteriologa w r. 1924, otrzymuje obecnie każdy żołnierz armii sprzymierzonych. Przejmujące zgrozą skurcze mięśni całego ciała, wywołane jadem bakterii tężca, które dawniej w 50 procentach kończyły się śmiercią — dzisiaj dzięki stosowaniu antytoksyny są bardzo rzadkie.

Gangrena gazowa, zwana tak z powodu tworzących się i pękających baniek gazowych w miejscu zakażonym, powstaje wskutek przedostania się do rany bakcyla gazowego. Rannych zabezpiecza się przed gangreną surowicą i sulfamidami. Sulfamidy wpakowane w ranę lub rozpylone na ranę oraz sulfathiozol zażywany doustnie, usunęły śmiertelność w skutek gangreny, z wykresów lekarskich niemal całkowicie. W Pearl Harbour było kilkadziesiąt wypadków gangreny, lecz żaden nie zakończył się śmiercią ani amputacją. Natomiast na Bataan surowica i sulfamidy wyczerpały się i było wiele wypadków gangreny z jej straszliwymi skutkami.

70 procent śmiertelności z ran w ostatniej wojnie, spowodowanych było przez drobnoustrój, powodujący ogólne zatrucie krwi /łańcuszkowiec/. W najlepszym wypadku kończyło się amputacją względnie długotrwałą chorobą. Antyseptyka i odpowiednie warunki sanitarne były jedynymi środkami dla zwalczania tych wypadków, jednakże w miejscach opatrunkowych na polu bitwy, a nawet w lazaretach polowych nie udawało się osiągnąć całkowicie pomyślnych wyników. Obecnie sulfamidy są bardzo skuteczne, podobnie jak i przy zakażeniu gardła lub ucha. Staphylokoki /gronkowce/, zarazki znajdujące się w czerakach i ropniach, często również i w ranach, jak dotychczas, są niewrażliwe na sulfamidy, jakkolwiek sulfathiozol był do pewnego stopnia skuteczny.

Sulfamidy wprowadzone do medycyny światowej przez uczonych niemieckich, uważane są przez wielu laików za cudowny środek przeciw wszystkim niemal schorzeniom. Jednakże lekarze wojskowi stosujący je w lecznictwie wojennym, nie uważają ich za cudowny lek. Wiedzą oni bowiem, że są pewne czynniki w ropie i w tkance obumarłej, które uniemożliwiają leczniczą działalność sulfamid w 100 procentach. Jak dotychczas nie wydzielono jeszcze substancji, którąby zneutralizowała akcję owych czynników. W wielu wypadkach, gdy infekcja usadowiła się już na dobre, lub wytworzyła się ropa, sulfamidy okazują się mało skuteczne. Sulfamidy nie mogą być stosowane bez wyboru, nie są one panaceum, ani też zabezpieczeniem przed szaleństwem. Lecz bez sulfamid listy strat wojennych byłyby bardziej ponure.

Dwa nowo odkryte środki: penicilina i tyrothrycina zapowiadają rewolucyjny postęp w medycynie. Na razie są one niedostępne dla masowego stosowania. Penicilina, którą uzyskuje się z grzybka pleśni w drobnych ilościach, jest wielokrotnie silniejsza w działaniu aniżeli sulfamidy, przy tym mniej trująca. Dotychczasowe próby w szpitalach — w szczególności w zwalczaniu gronkowca i bakcyla gazowego — dały tak wspaniałe wyniki, iż śmiało można mówić o prawdziwym przewrocie w medycynie. Jest nadzieja, że już w niedalekiej przyszłości będzie można przystąpić do masowej produkcji tego środka.

TECHNIKA I NARZĘDZIA CHIRURGICZNE

Amputacja była dawniej jedynym zabiegiem przy skomplikowanym złamaniu kończyn. Po bitwie nad Borodino w r. 1812, naczelny chirurg Napoleona dr. Larrey wykonał 200 amputacyj w ciągu 24 godzin. W latach 1917 — 1918 na 100 wypadków złamań w armii amerykańskiej — 46 kończyło się amputacją, 12 śmiercią. Jak dotychczas nie ma jeszcze szczegółowej statystyki z obecnej wojny, lecz przypuszcza się, że procent amputacyj nie wyniesie 10, zgonów zaś poniżej 1 procent.

Tak olbrzymi wzrost wyzdrowień w tym dziale medycyny zawdzięcza się głównie dwu lekarzom: dr. H. Winnett Orr z Lincoln, U.S.A. i dr. Jose Trueta Raspall z Barcelony. Metoda zamkniętego opatrunku przy powikłanych złamaniach, rozwinięta przez dra Orra, stosowana po raz pierwszy masowo w praktyce przez dra Trueta w czasie hiszpańskiej wojny domowej, opiera się na teorii, że unieruchomienie obrażonej kończyny leczy zakażone złamanie, nie zaś częsta antyseptyka.

Złamaną nogę lub rękę składa się i umacnia szczepkami, odłamki pogruchotanej kości łączy się metalowymi sztyftami, szpilkami lub śrubami. Ranę zmywa się wodą i mydłem, obce ciała i obumarłe tkanki usuwa się, głębokie nacięcia zabezpieczają drenaż, stosuje się sulfamidy, po czym ranę wypełnia się gazą przesiąkniętą wazeliną. Następnie całe ramię lub nogę bandażuje się zaprawą gipsową. Gips unieruchamia mięśnie, tak że zakażenie nie może się rozszerzyć na skutek ruchu mięśni, a opór tkanek jest wzmocniony całkowitym odpoczynkiem kończyny. Opatrunku nie zmienia się przez 3-4 tygodnie, pacjent nie jest więc narażany na bolesne i niebezpieczne przebandażowywania. Metoda ta przyjęta została od początku wojny przez chirurgów armii brytyjskiej i rosyjskiej, w armii amerykańskiej stosowana jest z pewnymi zmianami.

Operacje powikłanych złamań wymagają odpowiedniego sprzętu chirurgicznego i środków znieczulających. W pierwszej wojnie światowej stosowano wyłącznie eter i chloroform. Również i obecnie eter jest w powszechnym użyciu, jednakże stosuje się głównie uśpienie dożylne /połączenia kwasu barbiturowego/, z tym zastrzeżeniem, że oddech oraz ciśnienie krwi pacjenta muszą być pod baczną obserwacją lekarską. Niebezpieczeństwo zatrucia lub złych następstw przy podawaniu tych leków jest stosunkowo małe. Znieczulenie rdzeniowe używane jest głównie przy operacjach na dolnych kończynach, znieczulenie miejscowe nie ma większego znaczenia w chirurgii wojennej, gdyż zabiera więcej czasu, co zwiększa niebezpieczeństwo zakażenia.

Kule karabinowe lub drobne odłamki pocisków często pozostawia się w ciele bez ujemnych skutków, przeważnie jednak jest konieczne usuwanie odprysków metalu. Aparaty roentgenowskie nowego typu oddają nieocenione usługi w umiejscowieniu obcych ciał, bez sondowania na ślepo.

Aparat typu "Berman — Moorhead" z elektrycznym wskaźnikiem, przesuwany wzdłuż ciała podaje dokładnie miejsce pocisku. Po raz pierwszy aparat ten zastosował dr. John Moorhead w Pearl Harbour po ataku japońskim w grudniu 1941 r. Drugi wynalazek to trójwymiarowy aparat roentgenowski, wskazujący zarówno głębokość usadowienia jak i długość i szerokość ciała obcego. Aparat ten jest wynalazkiem braci Klein, dentystów nowojorskich, którzy oddali go bezinteresownie do dyspozycji wszystkich narodów sprzymierzonych na czas wojny.

SZYBKOŚĆ POMOCY

Nowe wynalazki techniczne, lecznicze, jak i nowe metody lekarskie przyczyniają się walnie do szybkiego leczenia i wyzdrowienia pacjentów, byłyby jednakże nie wystarczające, gdyby nie dochodził jeszcze jeden niezmiernie ważny czynnik, t.j. szybkość w dostarczaniu rannych pod opiekę lekarza.

W tej dziedzinie nastąpiły też olbrzymie zmiany i ulepszenia. Ranni są obecnie daleko szybciej ewakuowani z pola bitwy, aniżeli dawniej. Amerykański *"jeep"* zabiera dwa a nawet cztery nosze z ciężko rannymi bezpośrednio z linii ognia do stacyj przyfrontowych, gdzie rannym udziela się pierwszej pomocy /zastrzyki morfiny, sulfa, opatrunki i t.p./, stąd przewozi się ich na stację zbiorczą, gdzie otrzymują dalszą pomoc, łącznie z przetaczaniem krwi. Następnie przewozi się rannych w ambulansach możliwie jak najszybciej, do odległych o 5 mil od frontu szpitali polowych wyższego rzędu, gdzie w razie potrzeby dokonuje się operacyj. Lazarety te są równocześnie miejscami rozdzielczymi i rannych stąd odsyła się do głównych stacyj szpitalnych w głębi kraju — ambulansami lub samolotami. W armii armerykańskiej samoloty sanitarne są w powszechnym użyciu. Istnieją stałe linie powietrzne dla przewożenia rannych z Pacyfiku do Stanów Zjednoczonych i Australii, co więcej, zaprowadzono codzienną komunikację lotniczą dla rannych i chorych z Aleutów i Alaski do U.S.A.



WACŁAW SZPERBER

Bez blackoutu

Wspomniałem w poprzednim felietonie o wielkiej różnicy nastroju emigracji cywilnej w Londynie i nastroju żołnierzy. Starałem sobie tę obserwację wytłumaczyć indywidualnym, czasem nawet samotniczym sposobem życia człowieka cywilnego w przeciwieństwie do zespołowego życia żołnierskiego.

W ostatniej podróży po Anglii kilka razy "zahaczałem" o Londyn. Często w drodze z lotniska na lotnisko. Przyznaję się z ubolewaniem i raczej z przykrością, aniżeli z chęci dokuczenia komuś, że w Londynie po paru próbkach "tragikomicznych", unikałem na ogół rozmów z ludźmi na mieście i uciekałem do mego chwilowego "m.p." wyznaczonego przez E.N.S.A. w nieznanym, cichym pensjonacie. Czasem uciekałem, by przemyśleć to, co usłyszałem, czasem by . . . odzyskać równowagę.

Uważam, że trzeba to szczerze powiedzieć. Nie ulegam żadnej psychozie czy sugestii, nie mam złej woli, byłem jak najlepiej usposobiony do rozmów, nawet spragniony wymiany zdań, co więcej przygotowany byłem na niechybne ciosy, ale nie spodziewałem się, że "znockoutują" mnie w pierwszej rundzie, że histeria, a czasem cynizm moich rozmówców złapią mnie w "podwójnego nelsona" i cisnąć będą do ziemi.

To, że mnie nie położono na obie łopatki, zawdzięczam chyba temu wielkiemu zapasowi naprawdę świeżego powietrza, którego nałykałem się u lotników polskich. Brzmiały jeszcze w uszach rozmowy z nimi:

—"Jutro "wojna" /tak nazywają bojowe operacje lotnicze/ — mówili — ale dzisiaj mamy half-holiday i możemy z wami pośpiewać i porozmawiać . . ."

W baraku — w tak zwanej w żargonie żołnierskim: "beczce śmiechu" — w głębokich lasach "somewhere in England" przytuliła nas na nocleg grupa młodych pilotów. Łóżek było czternaście. Cztery wolne. Dwu na urlopie. Dwu . . .

—"Duchów się nie boicie?" — zapytał z jakimś bladym, gorzkim uśmiechem gospodarz baraku.

Przy każdym łóżku na prowizorycznym stoliczku stała jakaś fotografia. Kobiety. Czyjaś bardzo kochana twarz patrzyła z niej oczami smutnymi lub uśmiechała się pogodnie. Ot jak fotografia. Przy tych dwóch niezajętych łóżkach — także stały na stoliczkach fotografie. Koledzy nie zdążyli jeszcze schować pamiątek . . . Długo wpatrywałem się w twarz tej pani, która spoglądała spokojnie, nawet zalotnie, nie przypuszczając, że patrzy . . . w pustkę. Nie wiem, jak inni moi koledzy, ja słabo spałem tej nocy, mimo naprawdę serdecznego, domowego nastroju, jaki stworzyli gospodarze, okrywając nas najcieplejszymi "skórami" lotniczymi w swoim prymitywnym szałasie leśnym.

Gdy gospodarz zgasił światło rozmówki popłynęły "na całego". Inne. Niezrozumiałe gdzie indziej. Nad lasem, w górze, zawarczały jakieś maszyny. Wtedy przerwano rozmowy i nasłuchiwano uważnie. Po tym odezwały się głosy:

—"Bomber Command" leci na wojnę . . ."

—"Tak, tak, sąsiedzi pracują, a koledzy jak byki w łóżkach".

—"Mają chyba ze 14.000 feet. Wysoko" . . .

—" . . . Zimno tam, a "żołnierzyk" w sweterku pod kocykiem w "beczce śmiechu" . . .

—" . . . My pójdziemy jutro . . ."

Gdy przeszedł "Bomber Command", w baraku zapanowała cisza. Ktoś zachrapał w kącie, a po tym — pod łóżkiem, pod jednym z tych pustych, przejmująco pustych łóżek, na których leżały jeszcze porzucone przed lotem drobiazgi osobiste — odezwał się cichutki pisk . . .

—"Co to?" — zapytał jeden z nas.

—"Zapomnieliśmy wam powiedzieć, że Jurek, właśnie ten co to wczoraj nad Kanałem . . ."

Ktoś przerwał:

—"Nie zaczynaj całej opowieści! Nowelę lotniczą będziesz zaraz pisał? Po prostu Jurek hodował sobie kotkę, która lada dzień miała mieć kocięta. Tu w paczce pod łóżkiem. Znosił jej smakołyki z całego obozu. Mleko nam od porydżu odejmował. No i . . . nie doczekał się. Akurat dzisiaj wieczorem urodziła . . ."

Jeden z lotników, zaświecił światło, spojrzał pod łóżko i zdobywając się na maksimum pochmurności w głosie zapytał:

—"Do cholery! Może dać jej coś do żarcia?"

Z przeciwległego kąta odezwał się jakiś głos:

—"Chyba po to, aby zdechła. Przecież cały dzień, po kolei, każdy z was znosi jej dzisiaj jedzenie. Pęknie z tej pieczołowitości!"

Przyznam się, że może najbardziej wzruszająca była ta troska przyjaciół o jedyną żywą rzecz, która pozostała po Jurku pod jego polowym łóżkiem. Czuło się w tym baraku hamowane żartem i maskowane rubaszną obojętnością — wielkie serce lotnika-kolegi, przyjaciela, który jutro poleci nad Kanał, tam gdzie wczoraj został Jurek.

Zrobiło mi się bardzo smutno w tej "beczce śmiechu", ale byłem niezwykle szczęśliwy, że jestem z nimi tak blisko choć przez kilka godzin, że w tej ciszy nocnej biją wokoło mnie naprawdę wielkie serca. Wiem, że będą wściekli na mnie, że o tym napisałem, wzruszą ramionami, wyprą się w żywe oczy. Inny świat.

Rano "żołnierzyki" wdziały gumowe buty z cholewami, gdyż "błotko" było w lesie i poszły do maszyn bo dziś wieczorem . . . "wojna". A my? My do Londynu. Żegnałem ich z prawdziwym żalem.

W Londynie, zaraz na drugi dzień po tej nocy w baraku lotniczym, dowiedziałem się od pierwszego spotkanego rozmówcy, że:

"Wykończymy Iksińskiego, bo sprzedaje Polskę. A w ogóle nie dopuścimy, żeby "Partia Tromtadralska" zaczynała dochodzić do głosu . . ."

Od drugiego rozmówcy, że:

"Należy iść tylko z Iksińskim, bo inni to same łobuzy. Nie należy zadawać się z Alfą, bo to jest człowiek Omegi . . . Ale my ich wykończymy".

Od trzeciego rozmówcy, że:

" . . . Trzeba myśleć realnie. Cała nadzieja w "Partii Bumtatramskiej", która zwalcza partię "Tromtadralską". I dlatego mógłbym się zapisać dzisiaj jeszcze".

Od czwartego, że:

"Ypsyloński pogodził się z linią . . ."

Od piątego, że:

"Ten bęcwał Abecadłowski nie ma wstępu do Polski . . ."

Od szóstego, że:

"My im pokażemy".

Od siódmego, że:

"Oni nam pokażą" . . .

Od ósmego, że:

"Pokaże się kto komu . . . "

Od dziewiątego — uciekłem.

Dziesiątego nie spotkałem, bo pędem wróciłem do mego ustronia londyńskiego, by zetrzeć ze siebie tę histeryczną mgłę londyńską, w której gubią się ścieżki powrotne do lotniska polskiego — lotniska wielkich serc i prostoty, męskiej determinacji i kobiecej niemal subtelności, do lotniska przyjaźni i uczciwości, do lotniska . . . Człowieka.

Najwyższy to chyba czas na start do wielkości. Na start duchowy, który oderwie nas od ziemi, od małostek, skłóceń, egoizmów. Czas na taki start w chwili, gdy po Londynie włóczy się mgła niebezpieczna, gdy w jej oparach kryje się wiele tajemniczych, a bardzo ruchliwych postaci, gdy czas próby, wielkiej próby trwa.

Kiedy, jeżeli nie teraz?

WIKTOR BUDZYŃSKI

DWIE FRASZKI LOTNICZE

KRAKSA

Po prostu fantastycznie
udało wszystkim tak się —
że chociaż była kraksa
grat tylko zginął w kraksie.

I nawet nikt nie skakał —
fenomenalna robota —
I zamiast dać mu medal
opieprzają pilota:

Dowódca — że się ze skakaniem ociągał,
oświatowy — że przed kraksą podwozia nie wciągał,
kapelan — że iskrownik za wcześnie wyłączył,
mechanik — że zdezelowaną maszynę wykończył.

I po co pilocie się bronisz,
dolewasz do ognia oliwy,
nikt ci nie przyzna racji,
chyba, że byłbyś — nieżywy.

RZUCAŁO

Jest znowu w Dywizjonie. Przyjemnie i miło.
Wszyscy go wypytują: — " No, jakże tam było? "
Tamten mu piwo stawia, ten woodbine'a daje.
— " No . . . tak sobie . . . lecieliśmy właśnie na Biskaje,
Silniki były w porządku, wszystko fajnie grało,
Tylko wiatr był cholerny — strasznie nas rzucało,
Takie historie wyczyniał i takie podrygi
Że już . . . już myślałem! pojadę do Rygi! !
Bo ja nie znoszę huśtawki, mdli mnie w jednej chwili."
— " No i co? Jechałeś? " " Nie. Na szczęście nas zestrzelili."

KOTWICZ

Skrzynka pocztowa

LIST MARYNARZA — ŻYDA

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazaniem się w prasie angielskiej i radiu wiadomości o złym jakoby traktowaniu żołnierzy polskich wyznania mojżeszowego w Armii Polskiej i Marynarce, uważam za swój /smutny niestety/ obowiązek zabrać w tej sprawie głos, jako Polak i Żyd.

Ja osobiście jestem w Marynarce Wojennej i przeszło półtora roku pełnię służbę na jednym z okrętów Rzeczypospolitej. Przez cały ten czas ani razu nie czyniono mi żadnych przykrości z powodu mojego wyznania, ani też nie traktowano gorzej, niż marynarzy wyznań chrześcijańskich. Przeciwnie, mam wśród załogi wielu przyjaciół i nigdy nie czuję się osamotniony, mimo że na okręcie nie ma więcej prócz mnie marynarzy wyznania mojżeszowego.

Wystąpienia marynarzy i żołnierzy Żydów z zarzutem, że są źle traktowani w Polskich Siłach Zbrojnych są raczej wynikiem złej woli tych żołnierzy, bo czyż można uważać za wiarygodne twierdzenie jednego z marynarzy, występującego z zarzutem, że jest źle traktowany, skoro niedawno odsiedział on karę za okradzenie Y.M.C.A., przynosząc tym samym wstyd nie tylko Polakom, ale i Żydom.

Ze wstydem muszę stwierdzić jednak, że w wielu wypadkach żołnierze wyznania mojżeszowego sami szkodliwie działają na stosunki z kolegami wyznań chrześcijańskich na co posłużyć może następujący przykład: Przed wyjazdem naszego okrętu na Morze Śródziemne zaokrętowany został marynarz wyznania mojżeszowego, który jednak nie przyznawał się do tego, że jest Żydem. Kiedyśmy pewnego razu stanęli na czyszczenie kotłów w Palestynie, marynarz ten zdezerterował, zabierając ze sobą wszystkie służbowe rzeczy.

Niech ci, którzy uwierzyli opowiadaniom dezerterów, sami sobie odpowiedzą, czy podobne postępowanie można uważać za lojalne i czy może ono zapewnić utrzymanie koleżeńskich stosunków pomiędzy żołnierzami wyznania mojżeszowego i wyznań chrześcijańskich.

Mimo tego wypadku stosunek jednak załogi do mnie pozostał niezmieniony. Uważam, że podobne postępowanie żołnierzy-Żydów zasługuje na bezwzględne potępienie. Żołnierze ci są złymi reprezentantami zarówno polskości, jak i Żydów polskich. Nie potrafią zrozumieć tego, że są jedynymi obywatelami Rzeczypospolitej wyznania mojżeszowego, którym dane jest w otwartym polu i na wolności walczyć z wrogiem, który na Żydach dokonał największych i niesłychanych w dziejach ludzkości mordów.

Minęła właśnie rocznica walk w ghetto warszawskim, gdzie na barykadach Żyd walczył ramię w ramię ze swoim jedynym sprzymierzeńcem w nieszczęściu — Polakiem. Nikt z tych męczenników i bohaterów nie pozostał przy życiu. Zginęła tam również cała moja rodzina: matka, dwie siostry i czterech braci. Przypuszczam, że nie ma Żyda polskiego, któryby nie stracił kogoś z najbliższych pod okupacją niemiecką. Czy dzieje tego męczeństwa, czy ofiary tej krwi niewinnej mogą dać zapomnieć Żydom polskim, że ruiny ghetta warszawskiego, że wspólna walka tych, co tam zginęli są pomnikiem, są węzłem, który nas z tą ziemią, nasiąkłą ich krwią, związał na zawsze.

Wy, którzy wystąpiliście z zarzutem, że w Polskich Siłach Zbrojnych jesteście źle traktowani, pamiętajcie, że to Rząd Rzeczypospolitej wyciągnął nas z śniegów i tajg Sybiru, dając nam pomoc i opiekę, a co najważniejsze, broń do ręki, by pomścić krzywdy, jakich się hitlerowska zgraja na nas dopuściła. Nikt od nas więcej nie żąda, jak tego, abyśmy lojalnie i po żołniersku wypełniali swoje obowiązki.

Pomyślcie, czy podobnym postępowaniem zasługujecie na szacunek i co pomyślą o Żydach polskich nasi sprzymierzeńcy? Nie plamcie honoru żołnierza, Żyda — Polaka.

25 kwietnia.

st. mar. Tomasz Appel
/O.R.P. "Krakowiak"/

JESZCZE O "NIEWYKLUTYM" POKOLENIU

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Jana Badeniego /"Niewyklute pokolenie" w nr. 18 "Polski Walczącej"/ chciałbym — jako jeden z tego właśnie pokolenia — dorzucić swoje uwagi, wydaje mi się bowiem, że choć autor wychodzi ze słusznych założeń, nie wszystkie jego obserwacje i wnioski są trafne.

Wydaje mi się, że ogólnie artykuł p. Badeniego jest zbyt optymistyczny i romantyczny. Autor nie docenia bodajże materializmu /którego niestety nie można nazwać pozytywizmem/, dość silnie zakorzenionego przynajmniej wśród tych, którzy spędzili te cztery lata w W. Brytanii.

Tak więc, pisząc o nudzie, która sprawia, że każdy z nas chciałby się stąd gdzieś wyrwać, nie wspomina o złączonej z tym — a o wiele groźniejszej — apatii. Nie tylko rozczarowanie do pustych słów i obietnic /nie należy zapominać, że to pokolenie dwukrotnie przeżyło "zawalenie się świata", w Polsce i we Francji/, lecz i apatia sprawiają, że młodzi nie wierzą w jakiekolwiek hasła czy autorytety, podejrzewając we wszystkim frazes i nie ufają teorii — raczej "czyn" jest bardziej ceniony.

Z drugiej strony nie można powiedzieć, jak to czyni p. Badeni, by młodym zbytnio w Anglii narzucano jakieś "fałszywe doktryny" czy hasła. Góra była raczej obojętna i nie starała się ich pozyskać. Tam zaś, gdzie się starano, może łatwiej było pozyskać młodzież, niż się autorowi wydaje, o ile tylko właśnie zdołano przezwyciężyć apatię. Przykładem mogą być szkoły wojskowe, jak podchorążych, czy podoficerskie gdzie po dwu-trzyletnim pobycie w wojsku robiono jeszcze z największych opozycjonistów entuzjastów musztry i regulaminów.

Przyznaję, że młodzież zerwała z dawnym trybem życia domowego i nie chce, czy nie może, doń powrócić. Natomiast marzy ona o stworzeniu własnego domu, o jak najszybszym powrocie do normalnego trybu życia. Lecz jak będzie to życie wyglądać?

Młodzież zdaje sobie sprawę, że zbytnio nie zajmowano się nią tutaj. Czy zajmie się nią kto po wojnie? Czy będą jakieś możliwości studiowania, zdobycia zawodu? Przecież jedynym fachem, jakiego większość nauczyła się — to wykonywanie tej czy innej funkcji na niskim szczeblu wojskowym. Większość dlatego właśnie chce iść na front. Chcą iść na front, bo to jest jedyne usprawiedliwienie na powrót do Polski. Nie mają przecież żadnych innych kwalifikacji! Pójście na front jest wykonaniem indywidualnego obowiązku — młodzież wie, że całość i niepodległość Polski zależeć będzie od sytuacji politycznej.

Jeśli chodzi o stosunki powojenne, to wydaje się mi, że młodym nie bardzo śpieszy się do władzy. Większość chciałaby żyć i pracować normalnie, i pragnie, by ich wolność osobista nie była skrępowana. Co do ingerencji Państwa w dziedzinie ekonomicznej, to ci, którzy o tym myśleli, są przeważnie zwolennikami socjalizacji czy też etatyzacji.

Mówi się, żeśmy się dużo nauczyli od Brytyjczyków. Ale czy młodzi, którzy nie znali przedwojennych warunków w Polsce, potrafią zastosować tę naukę? Przed wojną każdy z nich żył na "cichej, domowej grządce" — teraz poznali W. Brytanię, kraj o bardzo wysokiej stopie życiowej. Czy będą z tego umieli wyciągnąć jakąś naukę dla powojennej Polski? I tym różni się ta młodzież od pokolenia starszego od niej o 5-7 lat. Pokolenie starsze — mimo małej różnicy wieku — pracowało przed wojną, łatwiej mu teraz porównywać i wyciągać wnioski, co można, a czego nie można w Polsce zastosować.

P. Badeni mówi tylko o młodzieży inteligenckiej — moje uwagi więc tylko jej dotyczą. Nie należy jednak zapominać, że młodzież robotnicza i chłopska również należy do naszego pokolenia. Dla nich ojczyzna nie była ciepła, warunki obecne natomiast nie są dla nich złe. Być może, skorzystali oni stosunkowo więcej z pobytu w zmechanizowanej armii, niż inteligencja. Kto wie, czy warunki obecne nie osłabiły moralnie niektórych z nich więcej, niż inteligentów. Mam wrażenie, że zbyt dobrze pamiętają przedwojenne stosunki i zadają sobie pytanie: "Jaka będzie w rzeczywistości przyszła Polska? . . . "

Wydaje mi się, że te uwagi przedstawiają wierniej tę część "*submerged generation*", którą miałem możność obserwować, niż artykuł p. Badeniego i że będąc wynikiem dłuższej dyskusji w gronie młodych ludzi, którzy poza przynależnością do tego pokolenia nie wiele bodajże mają ze sobą wspólnego — uwagi te nie są tylko wyrażeniem moich indywidualnych poglądów.

Łączę żołnierskie pozdrowienia

Andrzej de Vincenz

Poradnik żołnierski

Vick. — Sprawa sprzedaży czekolady i pomarańcz w szwadronie. Z przykrością stwierdzamy, że list Pański otrzymaliśmy po ocenzurowaniu go, prawdopodobnie przez cenzora miejscowego. Wycięto bowiem nie tylko Nr. szwadronu, ale nawet Pańskie nazwisko i adres poczty polowej. Zostawiono tylko pseudonim.

W liście tym stwierdza Pan, że racje czekoladowe i pomarańcze sprzedawane są w Waszym szwadronie przez podoficera mundurowego. Podczas gdy w innych szwadronach żołnierze otrzymują po 2, a najczęściej po 3, lub nawet po 4 tabliczki tygodniowo, to u Was "sprzedaje się od dość już dawna tylko po jednej tabliczce, lub w niektórych tygodniach w ogóle jej nie ma". Co prawda, przyznaje Pan, że "w ciągu 4-miesięcznego pobytu Pańskiego w tym szwadronie, raz sprzedano po 2 tabliczki, a raz po 4".

Podobnie przedstawiać się ma sprawa z pomarańczami: "za cały czas pobytu w szwadronie sprzedano tylko raz po jednym funcie na żołnierza, podczas gdy w innych szwadronach sprzedaje się co tydzień". Prosi Pan o wyjaśnienie — "jak postąpić, aby te sprawy unormować?" Zaznacza Pan przy tym, że "dowódca plutonu nie dał żadnych wyjaśnień, zaś dowódca szwadronu znany jest ze swej "nerwowości", to też każdy boi się tę sprawę poruszyć".

Skargi Pańskie przekazaliśmy, gdzie należy. Przypuszczamy, że mimo ocenzurowania listu, uda się ustalić, o jaki to oddział chodzi i sprawę tę wyjaśnić i unormować.

Ze swej strony zaznaczamy, że powodem niedostatecznej ilości czekolady mogła być niezaradność lub niedbalstwo tego, którego obowiązkiem jest jej odbieranie w N.A.A.F.I. Jeśli nie odbierze się jej na czas, to zdarza się, że zapasy się wyczerpią.

Co do pomarańcz, to zdaje się, że Pan przesadził, bo o ile nam wiadomo, to przydział pomarańcz nigdy nie był tak duży, by można je było wydzielać co tydzień. W ostatnich paru miesiącach przyszły do Anglii zdaje się ogółem tylko trzy transporty pomarańcz. Biorąc pod uwagę fakt, że pomarańczy nie da się przechowywać zbyt długo, niemożliwe więc było wydzielanie ich co tydzień przez dłuższy czas.

W obu jednak sprawach, zarówno czekolady jak i pomarańcz, należało zameldować o tym dowódcy szwadronu, bez względu na następstwa, tymbardziej, że dowódca plutonu nie dał żadnych wyjaśnień. Jeśli przyczyną niedomagań jest niedbalstwo, dowódca szwadronu miałby możność z miejsca je ukrócić, a jeśli co innego — tak samo by temu zaradził.

W wypadkach, gdy ma się istotne zarzuty, trzeba mieć także nieco t.zw. cywilnej odwagi.

Dla Polaków w Rosji: £10,910

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu marcu i kwietniu 1944 r. kwotę £6.12.6.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamiast kwiatów, których osobiście nie mogłem złożyć na trumnie ś.p. ochotniczki Janiny Juźwiak, przesyłam sh.10 z przeznaczeniem na biedne dzieci polskie w Rosji.

A.M.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam: na "Paczki od serca" — 15 szylingów,

na polskie dzieci w Rosji — 15 szylingów.

Z szacunkiem

M. Płoszajska

NA POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Pragnę za pośrednictwem "Polski Walczącej" wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowanie paniom z Polskiego Czerwonego Krzyża z Sekcji Opieki nad Rannymi i Chorymi Lotnikami za czułą opiekę i pomoc podczas mego długiego pobytu w szpitalu.

Słowa jednak nie potrafią wyrazić mej wdzięczności. Załączam £1.1.0 z prośbą o przeznaczenie do dyspozycji P.C.K.

Redakcji przesyłam wyrazy głębokiego szacunku.

Z poważaniem

R. A. Goryn

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £7.17.6 /słownie: siedem funtów, siedemnaście szylingów, 6d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,910.10.9 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dziesięć funtów, dziesięć szylingów, 9d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA POMOC DLA KRAJU I FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ FUNDUSZU SPOŁECZNEGO WOJSKA

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. kpt. dra Tadeusza Kiełpińskiego na "Pomoc dla Kraju i Fundusz Walki Czynnej" Funduszu Społecznego Wojska £9.13.6 /słownie: dziewięć funtów, trzynaście szylingów, d.6/.

Wydział Prac Kult. Ośw. M.O.N.

NA DAR NARODOWY

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £12.0.4 /słownie dwanaście funtów, cztery pensy/, zebraną podczas Akademii w dniu 3-go Maja z dobrowolnych datków na "Dar Narodowy".

Kwotę powyższą proszę przesłać pod właściwy adres.

Komendant Szkoły
Ppłk. R.

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej",

To wszystko co przesyłam, przeznaczam dla żołnierza na Wschodzie.

Z poważaniem

A. Kozłowski

Załączone: Porucznik Herbert: "Żądło Genowefy", "Z pierwszej linii frontu", "The National Zoological Park of Scotland", 18 egz. pism i broszur oraz pakiet "Wiadomości Polskich".

* * *

Bezimiennie: 9 rozmaitych miesięczników.

* * *

P.S. Wisłocki przesłał: A. Conan Doyle: "Sherlock Holmes", E. J. Méras: "Memoirs Relating to Fouché", A. J. Russell: "Their Religion", L. Rivière: "Nauka Francuskiego", J. Kisielewski: "Ziemia gromadzi prochy", M. Irwin: "The Gay Gailliard", S. Mackiewicz: "Historia Polski", J. G. Lockhard: "True Tales of the Sea", W. Collins: "The Moonstone", K. Zbyszewski: "Z Marszałkowskiej na Piccadilly", H. G. Wells: "The Invisible Man".

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam dwie książki: "Vade-Mecum żołnierza-kierowcy" /I, II/, "Basic English".

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Przy niniejszym przesyłam dla dzieci polskich następujące wydawnictwa: N. Neugebauer: "Kampania wrześniowa", A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz", F. S.: "Między Marną a Loarą", "Kalendarz Czerwonego Krzyża". A. Słonimski: "Popiół i wiatr", "Ziemie Wschodnie", G. Ramsay: "Poznaj Wielką Brytanię".

Na "paczki od serca": £3,120

Generał M. Kukiel składa otrzymany dodatek mundurowy w wysokości £15 na "paczki od serca".

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam czek na £4.4.0 /słownie cztery funty, cztery szylingi/ na "Paczki od serca" zebrane przez członków Zrzeszenia studentów Polaków w W. Brytanii Oddział Edinburgh, prosząc aby, jak poprzednio, paczki były w miarę możności wysłane dla Kolegów-studentów będących w niewoli.

Z poważaniem

/Z. Golarz/
Sekretarz

* * *

W załączeniu przesyłamy czek na kwotę £12.1.6, którą to kwotę złożyli uczestnicy Kursu kulturalno-oświatowego z przeznaczeniem dla jeńców wojennych.

Uczestnikami Kursu byli uczestnicy z Ameryki Południowej. Z ogólnej kwoty ofiarowanej, uczestnicy złożyli £10.1.6, wykładowca £2; razem £12.1.6.

Z poważaniem

P.O. Prezes
Dr. Bronisław Hełczyński

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mogąc w inny sposób wyrazić wdzięczności Księdzu Dziekanowi Miodońskiemu za odprawienie Mszy Św. w dniu imienin ś.p. Ojca mojego, przesyłam w gotówce dwa funty z przeznaczeniem na pomoc dla naszych żołnierzy w niewoli niemieckiej.

T.S. mjr.

* * *

Dla uczczenia uroczystości rodzinnych przypadających w maju przesyłam £5 na "paczki od serca" dla naszych jeńców w Niemczech.

Z poważaniem

M.L. płk.

* * *

Na "paczki od serca" szylingów 15.

M. Płoszajska

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £40.0.6 /słownie: czterdzieści funtów i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,120.8.1 /słownie: trzy tysiące sto dwadzieścia funtów, osiem szylingów, 1d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

"SAŁATKA MAJOWA"

W czwartek 25 maja o godz. 7.15 w Klubie "Orła Białego" odbędzie się wieczór fraszek i humoru p.t. "sałatka majowa".

Udział biorą A. Bogusławski, W. Budzyński, Kotwicz, M. Czuchnowski, A. Kowalski, R. Kiersnowski, P. Kulesza, J. Laskowski, A. Nowina, L. Solski, K. Zbyszewski, i A. Wasilewski.

Czyta Józef Opieński oraz autorzy.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

GRA ROZPOCZĘTA!



Gen. Anders: — Faites vos jeux Messieurs! /stawiajcie panowie!/.

W RADZIE NARODOWEJ

—Muszę panom zakomunikować miłą wiadomość! Wreszcie skapitulowali . . .

—Co pan mówi? Wszyscy?

—Jeszcze nie, ale część linii Hitlera.

—Eee, pan mówi o Włoszech, a my o Londynie! . . .

AUTENTYCZNE

Do przepełnionego autobusu w Londynie gramoli się objuczony żołnierz brytyjski.

—Sorry — woła konduktorka — następnym niech pan pojedzie!

—O.K., ale przez to spóźnię się na drugi front o całe 10 minut! . . .

NOWOŚCI

Mówią, że najnowsza książka jaka się pojawi, będzie nosiła tytuł: "Między Kasynem a Cassinem".

ŻOŁNIERSKI HUMOR

Żołnierz angielski zwraca się do jednego z polskich żołnierzy po zdobyciu Cassina:

—Właściwie to ten klasztor mogliśmy już dawno zdobyć, tylko my nie lubimy benedyktynki . . .

MÓWIĄ!

O pewnym korespondencie wojennym powszechnie się mówi, że wkrótce ma wypłynąć na szersze wody . . .

WŁOSKIE PODBIPIĘTY



Żołnierz polski we Włoszech:
—Jakoś wchodzi ten but włoski!

GDZIEŚ W SZKOCJI



—Cóż to za rumowisko? Czy sobie wyobrażacie, że tu jest Cassino?!

CUDA

Oficer angielski do sierżanta polskiego po zdobyciu klasztoru:

—Nie mogę pojąć! Przy tak wielkim sukcesie, macie znikomą ilość jeńców!

—Trudno panie kapitanie, w każdym klasztorze różne cuda się dzieją! . . .

TRAFNA POCHWAŁA

Zakonnicy w Monte Cassino mówią o Polakach we Włoszech, że zdobyli klasztor iście benedyktyńską pracą . . .

KWESTARZ DOSKONAŁY

Najlepszym kwestarzem klasztornym okazał się gen. Anders. Zdobył dla Aliantów cały klasztor.

POBOŻNISIE!

Do cel klasztornych w Cassino wpadają pierwsi żołnierze polscy. Niemcy podnoszą ręce do góry i błagają o życie.

—Co wy tu robicie — pytają Polacy.

—Siedzieliśmy na pokucie! . . .

W BRYGADZIE KARPACKIEJ

—Feluś, po takim sukcesie. ciekawy jestem, co nam polecą zdobywać w Rzymie!

—Chyba Colosseum . . .

MAJ W EDYNBURGU

W parku edynburskim siedzi Polak ze Szkotką:

—Widzę, że Polacy są teraz bardziej agresywni, niż dawniej. Niech pan jednak pamięta, że ja nie jestem Cassino i proszę mnie nie zdobywać szturmem . . .

POCHWAŁA

Amerykanin: — Ci Polacy to odważny naród. Jak nie Monte Carlo, to Monte Cassino muszą rozbić!

JEDYNY FACHOWIEC

Do szefa Kasyna w "Rubensie" zbliża się pewien pułkownik, znany ze swego humoru:

—Panie kolego, pan jeszcze tutaj? Słyszałem, że ma pan objąć Cassino! . . .

KTO ZDOBYŁ?

Niemcy twierdzą, że Cassino zdobył tylko żywy Duch . . .

JAK SOBIE MAŁY STAŚ WYOBRAŻA . . .



. . . gen. Andersa, który poszedł do klasztoru . . .

NIEMCY UDALI SIĘ NA Z GÓRY UPATRZONE STANOWISKA . .



. . . jak z procy! . . .

KOMPLEMENT

Anglik: Polacy to najpobożniejszy naród. Tylko ciągną do klasztorów!

KRÓTKA ODPOWIEDŹ

Niemiecka stacja we Włoszech "Wanda" nadała depeszę do gen. Andersa:

—*Quo vadis*, generale?

—*Via Romana* — padła odpowiedź!

SKRUPULATNY

Do wrót św. Piotra puka żołnierz angielski:

—A ty skąd?

—Spod Cassina, św. Piotrze — odpowiada Anglik. — Chciałbym odpocząć w niebie . . .

Po chwili przychodzi Amerykanin.

—A ty gdzie poległeś?

—Pod Cassinem! Prosiłbym o mały pokoik w niebie! . . .

O północy wali do okien św. Piotra — Polak.

—Skądże znowu o tej porze?

—Spod Cassina, melduję posłusznie . . .

—I pewnie chciałbyś iść do nieba?

—Nie, do piekła!

—Do piekła?!? A to dlaczego?!

—Muszę zliczyć moich Niemców!

Tekst i rysunki: **TONY**

HOŁD ZDOBYWCOM MONTE CASSINO.

Związki Ziem Północno i Południowo — Wschodnich Rz.P. w czwartek 1-go czerwca urządzają o godzinie 6.30 pop., w Westminster Cathedral Hall, Ambrosden Avenue,

MANIFESTACJĘ

dla uczczenia bohaterstwa żołnierza polskiego.

SPIS RZECZY:

Zbigniew Grabowski: Podstawy wspólnoty. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — Z tygodnia na tydzień. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — *Cezary Szaszkiewicz:* Ksiądz Król — kapelan Brygady Podhalańskiej. — *Lucjan Blit:* Bohater ghetta — kawaler "Virtuti Militari". — *Witold Domański:* Wizyta w Dywizji Karpackiej /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Aleksander Janowski:* Cassino. — *Halina Tomaszewska:* Sady kwitną na Wołyniu. — *Wacław Szperber:* Lekarz na froncie bojowym /I./. — *Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu. — *Kotwicz:* Dwie fraszki lotnicze /Rzucało. Kraksa/. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — *Tony:* Werinajsek.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

KOMUNIKAT

Dowódca Baonu Strzelców Podhalańskich zawiadamia, że tegoroczne Święto Baonowe w dniu 28.5.44 obchodzone będzie ściśle w ramach wewnętrznych.

* * *

"CZWARTACY" — b. oficerowie i żołnierze 4 pp. Leg. proszeni są o zgłoszenie:

a/ swoich adresów w Wielkiej Brytanii, na Śr. Wschodzie i w krajach alianckich,

b/ adresów "Czwartaków" w obozach jeńców i internowanych,

c/ adresów rodzin w Kraju obarczonych dziećmi,

pod adresem: Tymczasowy Komitet Pomocy jeńcom i internowanym z b. 4 pp. Leg. Ferdynand Świt., 8, Emperor's Gate, London, S.W.7.

Dotychczas zarejestrowano 20 adresów jeńców i internowanych, 3 adresy rodzin, wysłano 84 paczki, opłaciło składki w wysokości po sh.10—£1.5.0 /oficerowie/ i po 2—5 sh. /szeregowi/ 13-tu kolegów.

EDWARD NIDECKI, Camp universitaire, Fribourg, Suisse poszukuje STANISŁAWA KOSIBĘ ur. 1920 i WŁADYSŁAWA GŁADYSZA ur. 1916